AS



Nr. 3 15 STYCZNIA 1939 CENA 40 GROSZY ★ RADOŚNI TOWARZYSZE ARTYSTKA FILMOWA MARSHA HUNT

ANATOL KRAKOWIECKI

Po raz trzeci

★

SZKIC

— Więc, panie Ciapka, co to chciałem powiedzieć? Pan sam najlepiej powinien to czuć, uważa pan, pamdziejaszku? Chwila, że się tak wyrażę, podniosła. Po 35 latach wytężonej służby na stanowisku — co ja to chciałem powiedzieć? — na stanowisku egzekutora i licytatora, przechodzi pan na ten tego emeryturę.

Jak widzimy, przemówienie było nieco mętne. Ale trudno, pan naczelnik, jako wybitny przedstawiciel sfer rządowych, również mówić nie umiał. Nie był poprostu krasomówcą. Za to był serdecznie wzruszony swoją wymową. A już pan Ciapka Maciej płakał jak bóbr. Rzęsiście.

— Od dziś więc tego ten, panie Ciapka, uf uf, buu, buu, jest pan człowiekiem, panie dziejaszku, wolnym i będzie pan, tego, ęęę, pożywał w cichości chleb dostatni i zasłużony, to znaczy emeryturę, na którą płacił pan składki przez pełne 35 lat...

Potem odbyło się pożegnanie ze wszystkimi, a potem pan Ciapka Maciej po raz ostatni wyszedł z urzędu...

Tak się to zwyczajnie wszystko zaczęło.

Pan Ciapka Maciej po raz pierwszy w życiu poszedł do szynku i tam wypił znaczną ilość napojów, przez niektórych nazywanych wyskokowemi. Szybko też rozniosło się po miasteczku, że „pan Ciapka Maciej zalał sobie pałę u Rozenbluma i tańczy oberka". Wiadomość ta błyskawicznie obiegła wszystkie domostwa i zgromadziła u okien wytwornego lokalu śniadankowego liczną widownię, która patrzyła oszołomiona na wygibasy pana Ciapki. Nawet kilku „oprychów" ośmieliło się pod adresem tancerza wyrażać pewne życzenia.

— Ciapka Maciej, więcej ognia!

lub

— Ciapka Maciej, walca angielskiego!

O, zaiste, może to był oberek, ale chyba to nie był oberek. To była jakaś nadnaturalna trzęsionka. Ale wogóle było na co patrzeć.

Trudno, żeby wieść taka nie dotarła do rozłożystej Klotyldy.

Była to niewiasta przedziwnej urody... przed trzydziestu laty. Dziś uroda utonęła w sadle. Pani Klotylda wyglądała, jak pękaty stóg siana.

Otóż przez ostatnie 15 lat pan Ciapka Maciej był lokatorem pani Klotyldy. Ona go karmiła, ona zamiatała jego pokój, ona dbała, żeby miał czystą bieliznę, ona wreszcie gotowała mu rumianek, kiedy był chory. — A jak wiadomo, tego rodzaju rzeczy dają pewne prawa. Złośliwe języki dodawały nawet inne szczegóły. Mówiono mianowicie, że „coś tam między nimi było". Wiadomo co. Wstrząsająca ta rzecz stać się miała po największej miejscowej licytacji browaru. Pan Ciapka Maciej był tak potężny w chwili, kiedy krzyknął:

— Po raz trzeci...

że już dłużej opierać się nie mogła. Tak to, tak, kobiety lubią aureolę wielkości!

— Niech tylko przyjdzie, — rzekła piękna Klotylda, kiedy ją doszły słuchy o niezwykłych produkcjach pana Ciapki — ja go przepuszczę przez miotłę...

Dokładnie nie wiadomo, co ta groźba miała oznaczać, tembardziej, że nie będzie nam dane widzieć jej wykonaną.

Ostatecznie pan Maciej na wzburzonych falach alkoholu przyżeglował do domu. — I miotła nie poszła w ruch. Jedno słowo wystarczyło, aby wszelkie zakusy wojownicze obszernej Klotyldy wzięły w łeb.

— Oto wita cię, duszko, — rzekł na samym wstępie były egzekutor — emeryt Ciapka Maciej...

Złożył następnie wytworny ukłon, strącając: dwa talerze, kłębek bawełny, czajnik z herbatą, dwie doniczki z pelargonjami i fotografję pierwszego śp. męża obfitej Klotyldy. Sama zaś szeroka Klotylda wydała przejmujący pisk i miała ochotę zemdleć.

— Emeryt? — jęknęła, a miotła, niedoszłe narzędzie wymyślnych tortur, wypadła z jej rąk. — Emeryt!

Runął bowiem gmach jej marzeń. Zawsze liczyła, że zostanie jednak kiedyś panią Ciapkową. A teraz cóż z tego? Przecież gdyby Ciapka Maciej umarł wcześniej, niż ona — było to poważnie brane w rachubę — ona, rzęsista Klotylda nie może już liczyć na emeryturę po nim. Emerytom nie wolno się żenić. To znaczy, niby wolno, ale cóż tam z tego!

— A ty nic nie mówiłeś, że cię mają przenieść na emeryturę — zaczęła spokojnie, ale rozjarzała się w niej wściekłość. I byłoby może doszło do strasznych wypadków, gdyby nie wkroczył zbawiennie alkohol.

Pan Ciapka Maciej wyprężył się bowiem służbiście i zabełkotał:

— Emerytowany egzekutor urzędu skarbowego w Cacankowie, Ciapka Maciej jezdem...

... i znikł!

Alkohol bowiem wydał zarządzenie, żeby pan Ciapka dał nura pod stół i pan Ciapka wykonał je błyskawicznie i z właściwą sobie pedanterją. W jakiś przedziwny sposób nakrył się nogami i wjechał pod stół, zanim pękata Klotylda zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje.

* * *

Przez następne trzy dni pan Ciapka Maciej leżał w łóżeczku, mając głowę otoczoną ręcznikiem i jęczał, a czarująca Klotylda gotowała mu rumianek. Wówczas to właśnie urodziła się w jego obolałej głowie myśl wręcz epokowa, myśl wspaniała.

Patrzył mianowicie na stół, pod którego blatem dokonał historycznych „wygibasów". I mruczał:

— Z zamkniętemi oczyma wart dwanaście złotych. A może nawet piętnaście. O, będzie wart z piętnaście złotych. A ta szafa? Stara, bo stara i zniszczona, ale się jeszcze trzyma. Cena wywoławcza szesnaście złotych 50 gr. A ta etażerka? Więcej, jak 3 złote nikt nie da... Za to komoda dwadzieścia pięć, jak nic!

Tak, to jest wspaniały pomysł!

I oto na czwarty dzień pan Ciapka Maciej podniósł się z łoża boleści, ogolił, ubrał przyzwoicie, wyjął teczkę, która mu wiernie tyle lat służyła, a z niej druk, jakich miał dość w zapasie jeszcze z czasów urzędowania. I zaczął teraz urzędować.

Przemówił sam do siebie:

— To pan Maciej Ciapka? Tak jest! Pan jesteś winien skarbowi kwotę 36 zł. 76 gr. tytułem nie zapłaconych podatków, 12 zł. 15 gr tytułem grzywny za opilstwo, dochodzi 6 zł. 33 gr. kosztów. Płaci pan? Nie? Muszę wobec tego zająć te mebelki...

Nader grzecznie odpowiedział sam sobie:

— Proszę bardzo!

W czasie całej jego karjery nikt mu tak nie odpowiedział i to mu nieco zepsuło humor. Ale zaraz sporządził „protokół zajęcia":

jeden stół rozkładany, dębowy, w dobrym stanie — 15 zł.,

jedna szafa sosnowa, lekko zniszczona — 16 zł. 50,

jedna etażerka 3 zł.,

jeden „ospały i gnuśny", hym sokoli w ramach 1 zł. 50,

jedna komoda...

Tutaj wkroczył pan Ciapka Maciej, płatnik i oświadczył panu Ciapce Maciejowi, egzekutorowi:

— Komoda nie jest moja, należy do mej gospodyni...

Nie na takie „kawałki" brać doświadczonego egzekutora. Pan Ciapka zadecydował:

— Komodę zapisuje się. Proszę wnieść odwołanie do urzędu skarbowego.

I zapisał w protokóle:

komoda — 25 zł.

Protokół zamknął, podsumował, podpisał, opatrzył liczbą L. Cem 1/39 i schował do teczki. Liczba L. „Cem" oznaczała: „Ciapka na emeryturze"...

Rześkim krokiem wyszedł na przechadzkę...

Nazajutrz nie mógł się doczekać, aż potężna Klotylda pójdzie do miasteczka po zakupy. Gdyby mógł, wypędziłby ją. A kiedy tylko zniknęła za zakrętem, wstał, wziął teczkę i zapukał do drzwi jej pokoiku. Nikt mu nie odpowiedział: proszę, bo nikogo nie było. Wszedł. Zaczął formułką:

— Klotylda Nazad? Pani winna jesteś skarbowi kwotę... tytułem...

I zaczął urzędować. Był nielitościwy. Zapisał nawet łóżko i siennik, ręcznik i abażur do pampy, ba również rurki do włosów. Na meblach poprzylepiał kartki z napisem:

URZĄD SKARBOWY W CACANKOWIE.
Liczba: L. Cem 2/39.

Zanim rozlana Klotylda wróciła z zakupów, wszystko było gotowe.

I tak mijał dzień za dniem. W kuchni pan Ciapka zajął nawet wałek do ciasta i stolnicę, w kojcu zapisał kury, nawet w wygódce przyrząd do spuszczania wody. Potem przyszła kolej na minjaturowy ogródek. W protokóle L. Cem 6/39, widniał taki zapis:

jeden orzech wysokopienny, nigdy nie rodzi, zawadza tylko w ogrodzie — 2 zł. 25 gr.

Ale potem już wszystko się skończyło. Nie było nic do zajęcia, a liczba protokółów wzrosła do 17 Cem., wówczas to szczęśliwie pierzyniasta Klotylda przeniosła z pokoju pana Macieja etażerkę do swego. Tedy pan Ciapka Maciej usiadł przy stole (dawno „opisanym" i zaczął pisać:

L. Cem 18/39
Do Pana Naczelnika Urzędu Skarbowego
w Cacankowie.

Niniejszem donoszę, że niejaki Ciapka Maciej usunął w sposób podstępny zajętą na poczet należytości skarbowych etażerkę i ukrył takową w niewiadomem miejscu, co kwalifikuje się... itd.

Dopiero przy L. Cem. 39/39 wyjaśniło się, że etażerkę usunęła Klotylda Nazad, wdowa, a przy L. Cem. 46/39, że miała prawo ją usunąć, bo była jej własnością. Przy liczbie Cem 52/39 dochodzenie zostało umorzone, a przy L. Cem. 61/39 okazało się, że Ciapka Maciej nic nie jest winien skarbowi, przy L. Cem. 67/39, że również Klotylda Nazad, wdowa, nic nie jest winna.

Od L. Cem. 68/39 do 79/39, to były protokóły „zdjęcia zajęcia" z wałka do ciasta, z rurek do włosów, z przyrządu do spuszczania wody, z orzecha wysokopiennego, nigdy nie rodzącego, zawadzającego tylko w ogrodzie itd.

Był nawet jeden akt, który zawierał doniesienie przeciwko Ciapce Maciejowi, egzekutorowi, że dokonał zajęcia w sposób podstępny, w czasie nieobecności w mieszkaniu Klotyldy Nazad, wdowy. Sprawa zakończyła się upomnieniem zbyt gorliwego egzekutora.

A pan Ciapka Maciej zastanawiał się, czyby nie dopuścić do jednej bodaj licytacji. Ale nawet w wyobraźni nie mógł się na to zgodzić. Jego teczka wypełniła się aktami, ale przed oczyma stanęło ponure widmo i zapytywało:

— Co teraz robić?

Tak oto Ciapka Maciej wyruszył na miasto. Wszystko „pozajmował", co tylko zająć mógł. Ławki w ogrodzie miejskim nosiły jego kartki, latarnie uliczne też. Nawet nowa motopompa.

* * *

Trwało to równe dwa lata, a liczba aktów zapełniła cały pokój. Były ułożone w idealnym porządku.

Aż wreszcie pan Ciapka Maciej wlazł do rzeczułki, podgiąwszy spodnie. Chciał zająć jaką rybę. Była zimna jesień i pan Maciej dostał zapalenia płuc.

Kiedy chłopiec, który przyszedł z księdzem, zadzwonił, pan Ciapka Maciej powiedział nieprzytomnie:

— Po raz trzeci...

... i skonał.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 3 **Niedziela, 15 stycznia 1939** **Rok V**



Fot. Sport General.

Książę Windsor, który wraz z małżonką stale przebywa na południu Francji, odbywając od czasu do czasu większe podróże, uda się wkrótce, według krążących pogłosek, do chorej królowej matki, nawiązując w ten sposób zerwany kontakt z domem królewskim. Na zdjęciu książę Windsor i jego małżonka w gabinecie w willi „La Croe" w Cap d' Antibes, Cannes.

IMATRA I JEJ SIOSTRZYCE



Zachód słońca nad jeziorem Pielisjari.

Po raz pierwszy zawiodła pogoda i mżył lekki deszczyk gdy wysiedliśmy przed „Valtion Hotelli" w Imatrze. Wielki 4-o piętrowy gmach posiada liczne pokoje do wyboru: od kosztownych apartamentów na I piętrze aż do skromnych, turystycznych za 15 mf. (1 zł. 80) na samej górze.

Gości moc: Amerykanie, Anglicy, Szwedzi, Holendrzy, Jugosłowianie, Szwajcarzy i Niemcy. W podróży znajomości zawiera się łatwo. Już jesteśmy w przyjaźni z dwiema staremi, chudemi Angielkami. Przepyszne typy! Jadą z nami od samych Helsinek i poprostu nieustannie coś jedzą, a korzystając ze świetnej finlandzkiej organizacji turystycznej, zakupiły swoje świadania, obiady i lunche jeszcze w Londynie z obawy, że potem „nie zdołają się porozumieć". Prócz mowy ojczystej bowiem nie władają żadną inną i kiwają głowami ze zdumieniem, słysząc, ż w naszej polskiej gromadce, zależnie od okoliczności, rozbrzmiewa niemiecki, francuski, angielski i rosyjski.

Prędko jednak zdołały sobie wytłumaczyć ten polyglotyzm.

Jakiś Holender informuje się przejmującym szeptem. Co to za nacja, tyle znająca języków? — „Oh! — odpowiada z niewzruszoną powagą „nasza" Angielka: „It's quite natural — to Polacy" — mówią więc z natury po polsku, czesku i rosyjsku. Sam pan rozumie — te kilka dalszych języków nie robi im już potem różnicy".

Huk i szum olbrzymich wodospadów Imatry rozlega się w całym hotelu. Pozostawiam więc rzeczy i biegnę nad brzeg granitowej czeluści, gdzie ciasną gardzielą przelewają się kolosalne masy wód jeziora Saima do Vuoksi i Ładogi.

Wąskie schodki prowadzą z szosy w dół: jeszcze kilka kroków i staję przykuta do miejsca. Między wilgotnemi zębami czarnych skał, kłębią się, pienią, ryczą, czarpią, uderzają o brzegi i znów wracają z przeraźliwym sykiem zwały białej piany, fontanny wodnych bryzgów, kłęby mgły z rozpryskujących się kropel, jakieś leje, przepaści, wiry, smugi spokojnej wody i znów grzebienie fal i znów skręcone piekielne kotły, spienione, huczące, straszne. Wśr:d żółtych i czarnych szmaragdowych i srebrnych zwałów oszalałego żywiołu, walą się, pędzą wodami Imatry na południe kraju, rozbijają o siebie i o groźne głazy stosy ociosanych pni. Chwilami rzucone wściekłą, nienawistną potęgą bałwanów, osiadają na urwistych skałach, czarne, ociekające wodą, żałosne. I znów za chwilą z jadowitym sykiem białych



Na lewo: Zamek Olavinlinna.

grzyw, porywa je nurt i pędzi w opętańczych, wirowych obrotach dalej, dalej, dalej...

Stoję ogłuszona, przerażona, bezradna. Wydaje mi się, że straszliwa, nieokiełznana potęga nienawiści szarpie się w czeluści u moich stóp, że schwytano ją tam na chwilę, że rozwali ściany i zmiecie wszystko, co

Poniżej: Wodospady Imatry.



spotka na drodze. Ale minąwszy granitowe progi, Imatra uspakaja się nagle i rozlewa szeroko, by parę kilometrów dalej, na porysowanem smugami wirów jeziorze utworzyć wodospady Vallenkoski.

Nagle zupełnie nieoczekiwanie tafla wody załamuje się zapada, kłębi, dosłownie wspina w górę na sterczące z dna skały, tworząc na środku, na tle zielonych wysp, wały, grzebienie i fontanny białej piany — i znów kilkadziesiąt metrów dalej płynie bystrym, lecz spokojnym prądem.

Wysoko w górze rzeki, powyżej wodospadów, olbrzymie betonowe tamy więżą potęgę Imatry. W r. 1929 zbudowano tu kolosalną elektrownię o sile 140 tys. CV. Jednak planując ją, starano się o ile możności nie zniszczyć, nie uszkodzić dzikiego pierwotnego piękna i przyznać trzeba — cel został osiągnięty.

Dalsza droga wiedzie nas z przystani Vuokseniska poprzez olbrzymie, bo 400 km kw. liczące jezioro Saima.

Nie podejmuję się wyrazić czaru podróży po cudnych jeziorach Finlandji. — Niezmierzone przestrzenie ciemno granatowych wód spryskanych białą pianą, pokryte są i poszarpane tysiącem wysp, wysepek przylądków i skał. Woda wdziera się w ląd setkami cieśnin, zatok, przesmyków, a szmaragdowe, spokojne lasy schodzą aż do jej brzegów. Wszędzie za nami, przed nami, z boków, olbrzymie granatowe, perłowosrebrzyste lub różowe tafle wody, wszędzie ciemnozielone o złocistych pniach sosnowe lasy na spękanych granitowych skkerach (wysepkach). — Woda, woda... Przez każde pasmo lasu prześwieca jej tafla, za każdym zakrętem ukazuje się jej niezmierzona przestrzeń.

I wzamian szmaragdowe, skaliste wyspy kładą się chwilami na drodze statku tak, że przesuwa się on wąską zieloną cieśniną, to znów uciekają daleko — hen! aż na linję horyzontu i płyniemy ogromną lśniącą od słońca przestrzenią, dziwnie ciemnych wód.

Trudno uwierzyć — trudno sobie wyobrazić, by gdziekolwiek w tym kraju mógł być ląd stały — nie oblany wodą, nie otoczony nią ze wszech stron, nie będący w jej władzy. Ziemia, skały i drzewa są tu czemś przypadkowem i nienaturalnem. Tu jest niepodzielne królestwo wody.

Zrzadka ukazują się maleńkie osady — kilka wesołych drewnianych domków, czasem białe zwodzone mosty łączą pojedyncze wysepki. Gdzieś daleko przesunie się po jeziorze rybacka łódeczka.

Jasne i lśniące słońce północy zamienia

wszystko w jedną wielką symfonję — nie różowych drgających smug — jak u nas, ale bieli i srebra. — Srebrzyste są wody i skały, srebrzyste, szmaragdowe lasy, srebrzyste małe mijane miasteczka.

Zbliża się wieczór, jasny jak dzień, wieczór Północy. Bezgraniczny, świetlisty spokój kładzie się na stężałych, jakby mlecznych wodach, tylko śruba naszego statku ryje pienisty, ostry ślad.

Czyściutkie miasteczko Nyslott (Savonlinna) założone zostało w XV wieku u stóp wspaniałego zamku św. Olafa (Olavinlinna), istniejącego po dziś dzień i piętrzącego na skale wśród jeziora swe groźne, szare mury. Wspaniały ten zabytek, świetnie zachowany i utrzymany, ściąga do Nyslottu wielkie rzesze turystów, zwłaszcza, że tędy również prowadzi droga do „perły Finlandji", Punkaharju.

Poniżej: Helsinki — fragment portu.



Długi ten półwysep, zwany „minjaturą kraju" — to istotnie osobliwość, godna widzenia. Porosły wspaniałemi sosnami, tak jest wąski, że nieustannie z obu stron widać jeziora, a chwilami szosa zajmuje całą jego szerokość. Chcąc się nasycić pięknem tych jedynych w swoim rodzaju widoków, dojeżdżamy maleńkim stateczkiem do Punkasalmi na sam cypel półwyspu, by potem piechotą powrócić do „Valtion Hotelli", gdzie według „rozkładu jazdy" wypada nam nocleg.

Zbliża się wieczór, cudowna głęboka cisza kładzie się na kryształowe tafle jezior. Ukośne, białe promienie srebrzą kontury sosen. Wąziutki pas ziemi, po którym idziemy, zdaje się niepewny i zgubiony w tym bezmiarze wód widocznych wszędzie, wciskających się między bliskie i dalekie szmaragdowe skkery, szarpiących skaliste brzegi tysiącem cieśnin i zatok.

Chwilami półwysep zwęża się tak bardzo, że pozostaje tylko ścieżynka dla pieszych — szosa opada ku wodzie, a samochody płyną wzdłuż brzegów na wielkim, solidnym promie.

W „Valtion Hotelli" ściany hallu, korytarzy, jadalni pokryte są reklamami turystycznemi wszelkich państw: jest Litwa i Hiszpanja — Anglja i Grecja, Włochy i Norwegja, Jugosławja, Węgry i Czechy — niema tylko śladu... Polski! Przez całą drogę mamy sposobność przekonywać się o tym absolutnym braku propagandy w krajach północnych.

Ranek zastaje nas znowu na cudownych srebrzystych jeziorach w drodze do Kuopio, skąd już koleją dostajemy się do maleńkiej miejscowości Vaala.

Wielki państwowy hotel (znów „Valtion Hotelli") przepełniony jest turystami wszelkich narodowości. Tłoczą się obok siebie Niemcy, Anglicy, Amerykanie, Holendrzy. Pokój otrzymać można tylko przy znacznie wcześniejszem zamówieniu. Stąd bowiem zaczyna się jedyny w swoim rodzaju zjazd „rapides ami", tj. spływ na ogromnych 14-to metrowych łodziach po zawrotnym prądzie i wodospadach rzeki Oulu — wodospadach, mających siłę większą jak Imatra — bo 200 tys. C. V.

Na maleńkiej przystani gwar i ruch nieco nerwowy. Potężna Oulu joki rozlewa szeroko swe porysowane smugami wirów wody. Czerwono malowane łodzie wydają się wobec niej małe i dziwnie niepewne.

Zaprzysiężeni sternicy podjeżdżają kolejno, zabierając gromadki turystów. Ruszamy. Siedzę z przodu na niziutkiej ławeczce; przedemną stary wioślarz nieustannie żuje wygasłą fajkę, z tyłu przewoźnik, wielkiem wiosłem, zastępującem ster, kieruje łódź ku środkowi rzeki.

Prąd chwyta nas momentalnie i niesie z niesłychaną wprost szybkością. Migają przybrzeżne drzewa, łąki, skały i lasy. Nagle białe grzywy piany ukazują się przed nami, a spadek wody staje się tak gwałtowny, że łódź zjeżdża ukosem w dół! Z prawa i z lewa podnoszą się wielkie czarne wały i walą w boki naszej łodzi, która aż jęczy pod siłą tych uderzeń! Wioślarz pracuje gorączkowo, sternik daje dowody fantastycznej wprawy. Błyskawicznie przesuwamy się wzdłuż brzegu. Skała przed nami! Nie! Już potężnymi rzutami wydostaniemy się na środek! — Skręcamy w lewo! Znów ostre szarpnięcie i płyniemy w prawo! Wydaje się, że szukamy drogi wśród groźnych spienionych fal — woda szumi i huczy z furją, skręcając się wokół niewidocznych głazów. Mijamy pierwszy wodospad — Niskakoski.

Chwila pozornego spokoju — ale czarna rzeka, zła i pomarszczona sznureczkami wirów — niesie nas w dół coraz prędzej i prędzej. Znów nagle i niespodziewanie otwierają się przed nami straszliwe leje wodne — ogromne, wściekłe, spienione fale z szumem i sykiem szarpią boki łodzi, zalewając nas fontannami wody. To chyba nie do wiary, byśmy się mogli stąd wydostać! Łódź kładzie się na boki, tańczy na falach, wali się w otwarte leje i znów wydostaje na białe grzywy, by za chwilę z jękiem opaść ponownie w dół!

Dokończenie na str. 7-ej



Wodospady Vallenkoski.



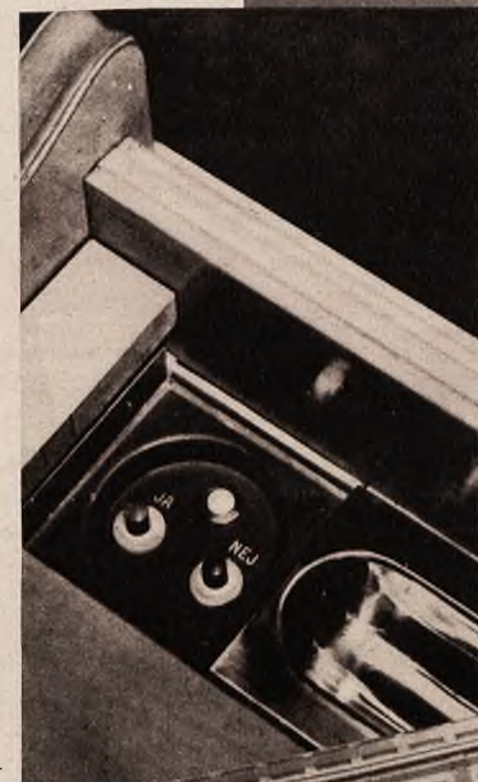
Ogólny widok miasta Savonlinna.

„MILCZĄCY“ PARLAMENT



Na lewo: Gmach parlamentu w Sztokholmie.

Poniżej: Oto ciekawe urządzenie służące do głosowania w parlamencie szwedzkim, które znajduje się na pulpicie każdego z posłów.



We wszystkich państwach, których ustrój opiera się na konstytucji, gwarantującej szerokie prawa obywatelskie, do głosu w rządzeniu dochodzi przedstawicielstwo narodu. Raz jest to parlament, gdzieindziej sejm, lub wkońcu Izba Gmin, Izba Deputowanych itd.

Atmosfera obrad tych ciał ustawodawczych rzadko kiedy odznaczała się łagodnością i spokojem. W większości wypadków tam, gdzie chodziło o zamanifestowanie wagi interesów partji, sprzecznych z interesami innego stronnictwa, decydował temperament posłów, którzy podczas przemówień swych kolegów i potem w czasie głosowania nieraz urządzali burzliwe demonstracje, mające na celu uniemożliwienie normalnego przebiegu obrad i obliczenia głosów. Ten stan ulegał jeszcze większemu zaostrzeniu w państwach, które zamieszkiwały różne narodowości. Klasycznym przykładem był tu parlament austrjacki, słynny z operetkowych demonstracyj Rusinów.

Ale i państwa o jednolitym przekroju narodowościowym, szczycące się wielowiekową tradycją i kulturą parlamentarną, nieraz już cierpiały na tem, że metody obrad ich ciał ustawodawczych dalekie były od doskonałości, której nie mogła zastąpić nawet wspólna wszystkim posłom wola uczciwego wypełniania swych obowiązków parlamentarnych i postawienia życia tej najważniejszej instytucji państwowej na najwyższym poziomie.



Na prawo: Wnętrze szwedzkiego parlamentu. Zdjęcia: Bruno Schleifer, Kopenhaga.

Weźmy tu pod uwagę np. Anglję, lub kraje skandynawskie. I w tych państwach obrady parlamentów nieraz szwankowały. Dochodziło często do nieporozumień na tle oddawania głosów, które z reguły, jeśli jest jawne, odbywa się przez podniesienie rąk. Rola przewodniczącego lub jeśli ktoś woli marszałka czy speakera, kontrolującego ilość oddanych głosów, musi być z natury rzeczy w takich warunkach niezwykle trudną i odpowiedzialną. Zdarzyć się bowiem może i napewno nieraz zdarza, że któryś z posłów podniesie obydwie ręce, lub spóźni się z podniesieniem tej jednej, uprawnionej do uzewnętrznienia woli oddania głosu. Co wówczas? W pierwszym wypadku mamy do czynienia z pospolitem oszustwem, które jednak w oczach danej partji uchodzi za czyn dopuszczalny i łacno może być niedostrzeżone przez przewodniczącego. W drugim wypadku poseł traci głos, który jako spóźniony nie został zarejestrowany.

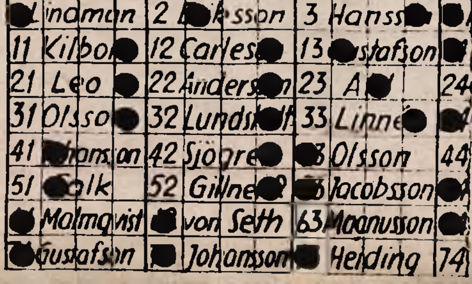
Aby zapobiec tego rodzaju wykroczeniom przeciw dobrym obyczajom parlamentarnym i zagwarantować posłom jaknajwiększą dokładność w obliczeniu prawidłowo oddanych głosów, trzeba było uciec się do pomocy techniki, której możliwości stają się niemal z każdym dniem nieograniczone. Jeden z szwedzkich wynalazców skonstruował taką aparaturę do „cichego“ głosowania. Być może, że był on kiedyś posłem i na „własnej skórze“ doznał skutków braku takiego precyzyjnie działającego urządzenia kontrolnego. Dość, że postanowił „pomóc“ parlamentom, a jego zamiar powiódł się w całej pełni. Bo oto parlament Szwecji, który szczyci się 500-letnią tradycją, wprowadził już w życie wynalazek i uznał go za znakomite rozwiązanie problemu usunięcia niedokładności w głosowaniu posłów.

Na czem polega działanie aparatury? Na sali obrad wisi wysoko na ścianie umieszczona i dla wszystkich obecnych widoczna duża tablica (patrz zdjęcie), na której znajdują się lampki elektryczne w trzech kolorach: zielonym, który oznacza słowo „*Tak*“, czerwonym dla słowa „*Nie*“ i białym dla określenia „*Wstrzymuję się od głosowania*“. Ilość lampek odpowiada ściśle liczbie posłów w komplecie, przyczem chodzi tu o każdy kolor z osobna. Przy każdym pulcie poselskim są zainstalowane dwa tastry elektryczne, jeden z napisem „Nie“, drugi oznaczony słowem „Tak“. Pociśnięcie pierwszego zaświeca odpowiednią żarówkę na tablicy w kolorze czerwonym, drugiego w kolorze zielonym. Oba tastry, pociśnięte naraz, zaświecają żarówkę w kolorze białym.

Przewodniczący w chwili rozpoczęcia głosowania przesuwa znajdującą się przy jego pulcie dźwignię i w ten sposób włącza prąd elektryczny do aparatury. W tym momencie posłowie, wywoływani po nazwisku, głosują po kolei za pomocą tastrów. Oddawanie głosów jest dokładnie rejestrowane przez aparaturę tak, że ktoś, kto raz pocisnął taster „Tak“, nie może potem zmienić go dowolnie na kolor czerwony „Nie“, bo pociskając drugi taster spowoduje zgaśnięcie żarówki zielonej, a zaświeci żarówkę tylko białą, oznaczającą „Wstrzymuję się od głosu“.

Gdy głosowanie jest ukończone, przewodniczący z pomocą dźwigni wyłącza prąd z tastrów, a drugą dźwignią włącza go do

Dokończenie na str. 31-ej.



Na prawo: Fragment filmu, na którym widzimy wynik głosowania posłów.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Oto bloczek, wydany przez Islandję, ozdobiony fragmentami pomnika Islandczyka Leifra Eiricksona, który jako pierwszy stanął na ziemi amerykańskiej. Pomnik został ofiarowany Islandji przez Stany Zjednoczone.

Omawiając w dalszym ciągu zeszłoroczne wydawnictwa polskich znaczków, notujemy po blokach wystawowych pierwszy w świecie blok stratosferyczny.

Okazyj do wydania znaczków stratosferycznych nie było dotąd zbyt wiele; właściwie tylko znaczki ku uczczeniu pierwszego zdobywcy tych najwyższych regjonów powietrznych — Belga Piccarda — znajdują się w posiadaniu większości filatelistów. Rosyjskie znaczki emitowane razem z innemi spekulatywnemi serjami nie zwróciły na siebie uwagi.

Pobyt na bloczek stratosferyczny mimo zupełnego już osłabienia mody na ten rodzaj znaczków — przewyższy oczekiwania i chociaż nakład nie został odrazu wyczerpany, to przecież obecnie zagranicą, jak i u nas cena zwyżkowała o 100% w stosunku do nominale.

Nie będziemy tu opisywali powtórnie rozczarowania, jakiego doznaliśmy po katastrofie lotu stratosferycznego. Wypadało właściwie zaczekać z puszczeniem znaczków w obieg do chwili startu, ale któżby się mógł spodziewać tak tragicznego końca. Listy, które rozesłano adresatom będą w albumach ciekawą i smutną pamiątką, bez większej jednak wartości filatelistycznej.

Powiększenie naszej Ojczyzny o rdzennie polski Śląsk Zaolzański zbiegło się prawie równocześnie z rocznicą XX-lecia niepodległości.

Filateliści obchodzili te dwie uroczystości, ale pomysł wydania jubileuszowego karnetu nie był przyjęty przez zbieraczy wielkiej klasy z aplauzem — przeciwnie: impreza ta skończyła się prawdopodobienie fiaskiem M. P. i T., bo i technika dostarczenia karnetów szwankowała.

Serja historyczna należy obok krajobrazowej do najpiękniejszych emisyj polskich— jako całość — powtarzamy jednak raz jeszcze, że format był zbyt skromny i jakkolwiek p. Boratyńskiemu należą się słowa uznania za wykonanie znakomitej większości projektów, to przecież Matejko „obrócił się napewno w grobie", bo pominięto wszystkie dzieła mistrza.

Znaczek „zaolzański" musiał być wykonany bardzo szybko i może dlatego nie udał się on specjalnie — nie można go ani zbytnio chwalić ani ganić i jest bez porównania mniej efektowny, niż jubileuszowa „złotówka" z Waszyngtonem i Kościuszką. We Francji i w całym szeregu krajów amerykańskich uczczono również rocznicę uchwalenia konstytucji U. S. A., ale właściwie to mimo największej nawet sympatji czy przymierza, nie można wydawać znaczków na cześć epokowych chwil z dziejów sojuszników. I czy to nie luksus wydawać znaczek okolicznościowy za 1 zł., skoro same St. Zj. A. P. wydały z tej okazji tylko egzemplarz za 3 c = 15 gr.!

Po raz pierwszy ukazały się także w tym roku znaczki na Pomoc Zimową. Nie omawialiśmy ich dotąd, a zasługują na baczniejszą uwagę. Otóż sam rysunek jest doskonały, a format poziomy pewnem urozmaiceniem — liczba trzech sztuk w serji, jakoteż niskie dopłaty powinny być utrzymane na zawsze, bo nie przypuszczamy, aby kiedykolwiek zaniechano wydawnictwa znaczków dobroczynnych. Nie możemy się natomiast absolutnie zgodzić na to, aby w Polsce miało się dziać to, co w Belgji. Jedna serja dobroczynna na rok to dopuszczalne maksimum, a także ilość bloków trzeba zredukować do jednej sztuki na 2 lata, przyczem bezwzględnie wystawy filatelistyczne muszą mieć pierwszeństwo.

Serje dobroczynne mogą obejmować najwyżej 3 lub 4 sztuki, t. j. znaczek na list zwykły i polecony i kartkę zwykłą i życzeniową. Okres świąt Bożego Narodzenia jest jednak trochę spóźniony, ponieważ M. P. i T. napewno nie potrafi szybko dokonać rozliczeń i przekazać sumy czystego zysku komitetowi „P. Z." — w marcu zaś będzie już trochę późno.

Na znaczkach „na pomoc zimową" powinien być bezwzględnie, jak i na wszystkich innych umieszczony napis „Poczta Polska". Słowa te przyjęte tradycyjnie od pierwszych chwil naszej niepodległości mówią o tem, że jest to polski znaczek pocztowy, a nie nalepka lub stempel. Brak słowa „Poczta" jak i nierównomierne rozsyłanie znaczków, (nie można bowiem dotąd nabyć innych egzemplarzy prócz 5+5 gr.), są jedynymi błędami, które zauważyliśmy. **W. H.**

Dokończenie ze str. 5-ej.

Mam szczerą ochotę krzyczeć ze strachu— resztką siły woli zaciskam zęby. Wał białej piany przed nami staje się większy jeszcze, sternik, aż kładzie się na swoje wiosło, wioślarz ogląda się raz i drugi ze skupieniem. Znów porywa nas prąd, łódź zdaje się przeskakiwać fale! Migają falami obijane brzegi, jakaś wielka drewniana zapora, skręt i z sykiem wściekłości wod wyrzuca nas na skłębioną wirami przestrzeń. Niepojętym sposobem sternik robi zakos — jeden, drugi — gwałtownie obraca łódź pod prąd — i stajemy przy maleńkim mostku na krótką chwilę wypoczynku.

Śliczny, wiszący na wys. 50 mtr. mostek prowadzi na drugi brzeg do czyściutkiej „kahvile", gdzie turyści wzmacniają kawą „nadszarpnięte nerwy". — Czeka nas bowiem jeszcze potężny wodospad Pychakoski.

Rzeka jest coraz szersza, coraz bardziej majestatyczna. Czarne ostre fale podnoszą się i z furją biegną przeciw nam. Prąd szarpie nas na boki! raz! raz! W ogromnych rzutach w górę! w dół! suniemy naprzód. Nagle niespodziewanie zakręca nami w wir tak potężny, że ocieramy się o skalisty brzeg! — znów białe piany z sykiem walą się do wnętrza łodzi! — woda sięga już po kostki.

Lecz są to prawie ostatnie wstrząsające wrażenia. Mijamy jeszcze dwa mniejsze wodospady i wypływamy na szerokie uspokojone teraz — ciemne wody. Gęsto płyną tu pnie spuszczane prądem Oulu joki ku morzu. — Zbliżają się ku nam i ocierają o burty, to znów łączą razem i nakształt wielkich tratw kołyszą się na falach.

Wjeżdżamy w cichy kryształowy kanał; zielone liściaste drzewa porastają brzegi, białe mosty łączą pojedyncze wysepki. Jeszcze kilka metrów — stajemy u pływającego pomostu stacji, skąd pociąg zabierze nas wieczorem do Oulu.

Znów mamy sposobność przekonać się o sprężystości organizacji turystycznej: nasze pozostawione w Valla kuferki czekają ustawione na peronie, każdy opatrzony karteczką z nazwiskiem i stemplem hotelu.

Sapiąc, wjeżdża maleńki, drzewem opalany pociąg. Wagony jak zawsze pełne pasażerów, a wśród nich, jak zawsze, niesłychane ilości — dzieci. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się tylekroć jeździć z młodzieżą od lat 2 do 14, jak tutaj.

Wszelkiego wieku, siedzą dziwnie grzeczne i spokojne, wyraźnie przyzwyczajone do podróży, po wszystkich przedziałach i ławkach.

Pytałam „ludzi miejscowych", czy Finlandczycy odznaczają się tak wielką ilością progenitury. Odpowiedziano mi, że nie — tylko mają zwyczaj zawsze, wyjeżdżając nawet na 2—3 dni, zabierać dzieci z sobą.

Zatrzymując się na każdej stacji — dążymy do Oulu. Jedyną wadą tamtejszych wygodnych i tanich kolei jest ich niesłychana powolność! Zato czystość i porządek wzorowy.

Wreszcie gwiżdżąc i sapiąc wtaczamy się na stację największego miasta północy — Oulu. **Marja Mikorska.**

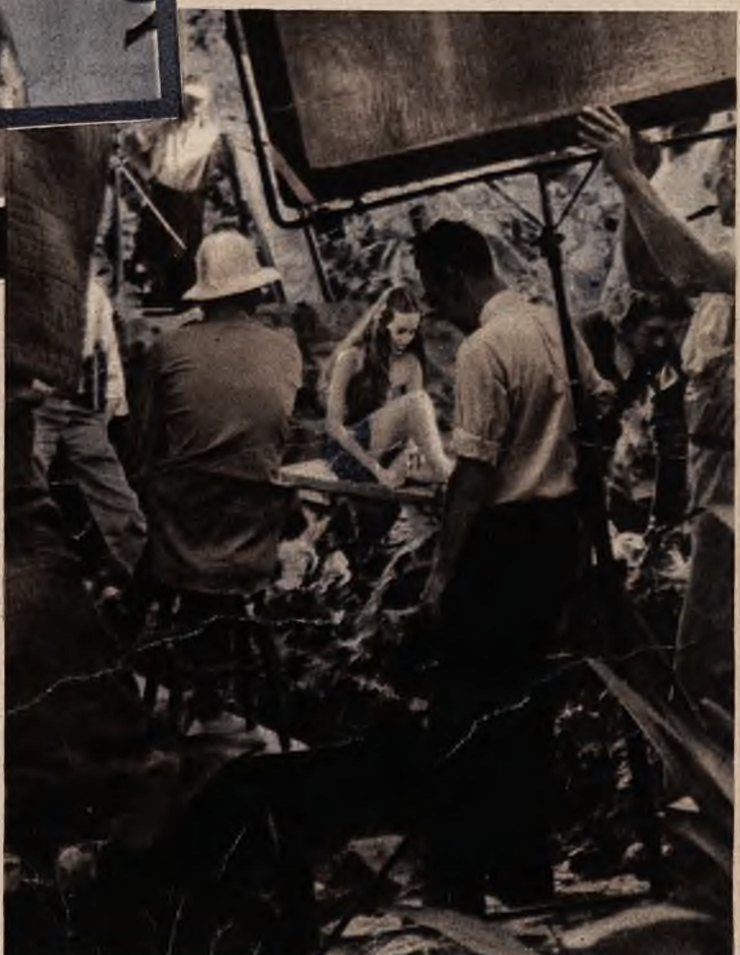
TARZAN

CZYLI POWRÓT DO NATURY



Jayne Regan odtwarza w licznych filmach rolę towarzyszki mieszkającego w dżunglach samotnika. Oto jedna ze scen z filmu „Zew dżungli".

Na prawo: „Bezludna dżungla" przed objektywem aparatu filmowego...



Powodzenie filmów z Tarzanem jest niewątpliwie symptomatyczne. Ta naiwna fantastyka, opiewająca powrót człowieka do natury, jest wyrazem tęsknoty człowieka współczesnego za przyrodą. Czem jest Tarzan dla przeciętnego jankesa, uwięzionego w dżungli wielopiętrowych kamienic, wśród betonowych murów, asfaltowych jezdni i kłębów dymu, przesłaniających niebo? Jest przedewszystkiem gentlemanem, który nie musi przesiadywać w biurze, nie wdycha wyziewów benzynowych, nie potrzebuje pieniędzy i na łonie natury zażywa uciech sportowego żywota. Jest synonimem swobody, pojętej prymitywnie i z wdziękiem niewątpliwie prostackim, ale tem bardziej przemawiającym do serca tłumów. Dżungla jest dla Tarzana olimpijskim stadjonem, gdzie uprawia akrobację na line, hipikę na słoniu, trening pływacki w rzece, a siły swych mięśni próbuje w emocjonujących zapasach z królem puszczy, krwiożerczym lwem. Tarzan nie zna smokinga, gardzi knickerbockerami, ale nie jest również nudystą i strzęp, którym opasuje biodra, przypomina łudząco spodenki sportowca. Tarzan odżywia się prymitywnie, ale zdrowo, z powodzeniem kocha się w pięknych kobietach i jest zawsze świetnie ogolony, niczem członek nowojorskiego klubu miljonerów.

Taki Tarzan króluje na ekranie już od lat piętnastu, to jest od czasu, jak filmowcy z Hollywood po raz pierwszy zaryzykowali przeniesienie na ekran jednej z powieści sprytnego nowojorskiego dziennikarza Edgara Rice Burroughsa. Ten człowiek, który pod wyraźnym wpływem Kiplinga powołał do życia mało skomplikowaną postać człowieka-małpy, zrozumiał dobrze, że ufryzowana, sielankowa i odbiegająca od rzeczywistości wizja porwie mieszczucha o wiele silniej, niż natura autentyczna, surowa i groźna. Najlepszym tego dowodem jest film. Świetni amerykańscy reporterzy filmowi, Johnson, Buck czy Schödsack niejednokrotnie dokazywali cudów, wyprawiając się w mateczniki puszcz afrykańskich i indyjskich, gdzie chwytali na taśmę autentyczne fragmenty życia przyrody. Filmy ich budziły zdumienie i podziw, ale nigdy nie osiągały takiego sukcesu, jak filmy z życia Tarzana. — Schödsack jest twórcą porywającej epopei z życia zwierząt leśnych — „Range". Ten film, realizowany w najtrudniejszych warunkach w dżunglach Borneo i Celebesu, spotkał się z serdecznem przyjęciem, ale sukces ten był raczej moralny. Potem zabrał się Schödsack do filmów rozrywkowych i stworzył słynną dwudziestopięciometrową „bujdę" — „King-Kong". Film ten przyniósł mu pieniądze. — Każde dziecko w Ameryce, Europie i Azji wie, kim był King-Kong, „kontr-typ" Tarzana, potworny małpolud, który jak muchy chwyta olbrzymiemi łapskami przelatujące nad jego głową aeroplany. King-Kong wzbogacił nasz słownik, podobnie jak Tarzan, ale kto pamięta o małym orangutanie — Rango — którego historję tak pięknie opowiedział Schödsack wspaniałą mową obrazów w swoim reportażu z dżungli? Człowiek z miasta z respektem ogląda filmy z autentycznej, nieretuszowanej dżungli, w głębi duszy jednak woli dżunglę luna-parku, ogród rozkoszy i emocji, tę, w której królu-

Dokończenie na str. 31-ej.

KARTY ŹLE ROZDANE

ANDRÉ MAUROIS

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
MARJI NADACHOWSKIEJ-KNIAGININOWEJ

NOWELA

Wrócił pan do Francji i oto znów dzieli nas ocean. To dodaje mi odwagi, by napisać ten list. Nie zauważył pan, przynajmniej tak sądzę, że pański pobyt był dla mnie bolesną przygodą. Nie śmiałam opowiedzieć o mojem politowania godnem niepowodzeniu, dopóki pan był w Nowym Jorku. Teraz wierzę, że to opowiadanie przyniesie mi ulgę.

Czy przypomina pan sobie swoje listy, pisane do mnie przed przyjazdem do Ameryki? Przypuszczam, że je pan całkiem zapomniał. Mam je w tej chwili przed sobą. Są entuzjastyczne i czarujące. Właśnie wyszła wtedy pierwsza książka pana, nieznanego jeszcze w naszym kraju; czytał pan dwa artykuły, które ja o nim napisałam; wierzę, że zrobiły panu prawdziwą przyjemność. Sam mi pan o tem powiedział:

„Żaden mężczyzna nie napisał w swej krytyce o tej powieści rzeczy tak głębokich i subtelnych, jakiemi ona natchnęła panią. Tylko kobieta mogła opisać charakter Klaryssy z podobną wnikliwością. Pracuje się dla takich jak pani czytelniczek".

A po drugim artykule, w którym próbowałam analizować nietylko dzieło pana, lecz to, czego się domyślałam o osobie pana, napisał mi pan:

„Nie mogę sobie wyobrazić większej przyjemności, jak porozmawiać pewnego dnia z panią o książkach, które oboje lubimy. Cytuje pani właśnie tych autorów, których ja najgoręcej uwielbiam, mówi pani o nich właśnie to, co i ja myślę. Ach! jakież wieczory moglibyśmy spędzać razem, gdzieś na 30-tym piętrze, gwarząc o naszych niezliczonych przyjacielach; o Merimée, o Czechowie, o Foerstrze i o tej rozkosznej Katarzynie Mansfield".

Nie wierzę, by pan mógł pojąć co te zdania, dla pana niewątpliwie banalne i grzeczne, znaczyły wtedy dla mnie. Pan nie wie, jakie jest moje życie. Mieszkam z biednymi rodzicami, którzy mają księgarnię w ubogiej dzielnicy Nowego Jorku. Mieszkanie jest brzydkie, ciemne, umeblowane w stylu z 1890 roku. Tylko mój pokój ma mury skromne, gładkie i białe, na których wisi jedynie kilka fotografij, między niemi fotografja pana. Kupiłam ją, ażeby nie prosić pana o nią.

Zamiłowanie do książek zawdzięczam mojej matce, która kształciła się sama, lecz z dużą inteligencją. Dzięki bezgranicznym poświęceniom zdołała doprowadzić do tego, żeby mnie wychować w kolegjum. Gdy zaczęłam pisać, pomagała mi i dodawała odwagi. Wspominam o tem, ponieważ zapewne pyta się pan sam siebie, dlaczego zarabiając dość dobrze na życie, przez współpracę z dwoma wielkimi dziennikami, mieszkam w dalszym ciągu u mych rodziców. Częściowo przez wdzięczność, częściowo przez obawę samotności, ponieważ jestem kobietą żyjącą w odosobnieniu. To także pana zdziwi. W Nowym Jorku musiano panu powiedzieć, że mam tylko przyjaciół. To prawda; lecz z żadnym z nich nie łączy mnie prawdziwa zażyłość.

Czy jestem brzydka? Często patrzę się długo w lustro. Mam twarz zbyt okrągłą, usta pozbawione wyrazu stanowczości, nos zanadto szeroki: oczy wydają mi się... ach! wcale nie piękne, lecz... panu pozostawiam troskę znalezienia jakiegoś pobłażliwego przymiotnika. Wymazałam w tej chwili trzy pod rząd.

Wierzę, że byłabym dla mężczyzny kobietą lub przyjaciółką miłą, może zazdrosną, lecz z pewnocią wierną i pewną. Żaden z nich nie życzył sobie tego; przynajmniej żaden z tych, którychbym sobie sama wybrała. Wszyscy bardzo mnie chwalą, lecz żenią się z innemi.

— — — — — — — —

Może teraz będzie pan sobie mógł jaśniej wyobrazić, czem był dla mnie przyjazd pana do Nowego Jorku? Czułam, że jest pan typem mężczyzny, stworzonym, aby mnie zrozumieć. Wszystko nas zbliżało: tożsamość upodobań, sympatja zrodzona z mego uwielbienia dla pana książek. Poza mną nie znał pan tu prawie nikogo. To ja sprawiłam, że pan przyjechał, urządzając dla pana te konferencje w Szkole Nauk Społecznych. Ażeby uzyskać pana zgodę, wysunęłam poważne, mocne i szlachetne argumenty; prawdziwą pobudką zaś było to, że chciałam mieć pana przez kilka tygodni całkiem dla siebie. Ach! gdyby pan wiedział, z jaką miłością (to ciekawe, lecz na odległość sześciu tysięcy kilometrów przestaję się bać słów) robiłam przygotowania na pana przyjazd. Postarałam się zobaczyć wszystkie sztuki, jakie wówczas grano, oby wybrać napewno taką, któraby pana mogła zabawić; rozpoczęłam lekcje języka francuskiego, ażeby ulepszyć mój akcent i nakoniec postanowiłam umieścić pana w Harrietty Benson.

Powzięłam tę decyzję dopiero w ostatniej chwili. Od dłuższego czasu miałam dla pana zamówiony apartament w pewnym hotelu, o którym mówiono mi wiele dobre-

go. Lecz tydzień przed pana przyjazdem, będąc wieczorem u Harrietty (która była moją koleżanką z kolegjum i pozostała moją przyjaciółką po nadzwyczajnem zamążpójściu), nagle, oglądając ten dom doskonały, aż zanadto doskonały, podziwiając francuskie obrazy (wiedziałam, że pan lubi Degas'a i Renoir'a), a przedewszystkiem z myślą o samej Harriecie, która tak bardzo przypominała bohaterki pana powieści, powiedziałam sobie: „Ależ naturalnie... on powinien tutaj mieszkać". W ciągu pięciu minut uprosiłam Harrietę, zresztą dość zadowoloną, by ofiarowała panu pokój u siebie.

Czy przypomina pan sobie lądowanie na tem molo, rojącem się od strażników celnych i tragarzy? Wyszłam naprzeciw pana wśród pasażerów gotowych wysiąść z „Ile de France". Był pan takim, jakiego oczekiwałam. Biło mi serce. Śmieszne to, skoro pana nie znałam, lecz tak było istotnie. Pan naturalnie nie mógł mnie poznać; ale w tej minucie, gdy pan postawił nogę na amerykańskiej ziemi, podeszłyśmy. Zamieniliśmy kilka zdań. Mogę panu każde z nich powtórzyć. Mówił pan o okręcie, o podróży, o swoich pierwszych wrażeniach. Prawdę powiedzieć, wcale prawie nie słuchałam. Byłam zajęta wyłącznie tem spojrzeniem, jakie bezwątpienia nieświadomie zamienił pan z Harriette. Dla mnie, namiętnej obserwatorki, to spojrzenie zawierało całą przyszłość: „Oto, co się stało — myślałam z goryczą — między nimi zawiązała się nić jakiegoś niemego porozumienia. Ach, jakżeż byłam szalona".

Rzeczywiście jakże byłam szalona! Pragnąc pana zachować dla siebie, rozkoszować się najdrobniejszą minutą pobytu pana, od pierwszej sekundy zapoznałam pana z kobietą sto razy ładniejszą i sto razy bardziej czarującą ode mnie, zakwaterowałam pana u niej, oddałam jej pana; pokazałam ją panu otoczoną całym urokiem jej bogactwa i jej dobrego smaku. Nie zrozumie pan nigdy, ile goryczy doznałam w czasie jazdy powozem Harrietty z portu do jej domu. Patrzyłam na jej suknię i moją: jej była o wiele skromniejsza, ponieważ poczyniłam wielkie wydatki, ażeby się panu podobać, lecz wiedziałam, że tamtą uważa pan za doskonałą, a mojej nawet pan nie widzi. Milczałam, a pan nawet nie spostrzegł tego. Rozpoczęliście z Harriettą wesołą pogawędkę. Nie mówiliście nic ważnego, lecz wyglądaliście oboje na szczęśliwych i ożywionych. Czułam, że przegrałam partję, zanim ją jeszcze rozpoczęłam.

— — — — — — — —

Czy zauważył pan, że w czasie swego pobytu prawie mnie pan nie widywał? Sądzę, że nie. Spędzał pan całe dnie z Harriett. Wieczorem szedł pan z nią, a niekiedy z jej mężem do teatru. W sobotę wyjeżdżaliście, aby spędzić week-end w ich domu w Long Island. Kilkakrotnie z uprzejmości prosił pan Harriettę: „Trzebaby zaprosić tę biedną Idę". I Harriett bardzo czule telefonowała do mnie. Zawsze odmawiałam, znajdywałam preteksty, wymyślałam zajęcia i pracę. Moje odmowy uważaliście oboje za zupełnie naturalne, ściślej powiedziawszy, nie zadawaliście sobie trudu, by o tem myśleć. Wypełnialiście jedynie obowiązek kurtuazji i przyjaźni. Podobaliście się sobie nieskończenie. Byliście szczęśliwi, pozostając sami. Szczęście jest zaś nonszalancko egoistyczne.

Więc usunęłam się na przeciąg tych czterech tygodni. Wykreśliłam się z waszego życia. A gdy przyszłam ostatniego dnia, by towarzyszyć panu na statek, byłam tak uśmiechnięta i naturalna, że z pewnością nie domyślił się pan niczego. Dziś, gdy odstęp czasu nadał tej bolesnej przygodzie znamię czegoś irrealnego, prawie fikcyjnego, chcę bronić przed panem mej sprawy.

Bo nie była to zła sprawa. Gdyby pan zadał sobie trochę trudu, by pomówić ze mną, dodać mi odwagi, myślę, że znalazłby pan we mnie moc uczucia, spostrzeżeń, któreby pana zadziwiły. Jestem przekonana, że pisarzowi takiemu, jak pan — powieściopisarzowi, którym powinien pan być przedewszystkiem — mogłabym dać o wiele więcej niż Harriet. Proszę nie sądzić, że w tej chwili posunięciem, któreby było dość kobiecem (czyż zresztą jestem kobiecą?) pragnę zniszczyć w umyśle pana obraz mej przyjaciółki. Podziwiam Harriett, uważam, że rozkoszą jest patrzeć na nią i sądzę, że jako kobieta swej sfery pozostała zdumiewająco „świeża" i szczerze ciekawa kultury.

Lecz właśnie dlatego, że jest piękna, właśnie dlatego, że jest bogata i że ma zbyt wiele powodzenia, Harriett nie ma czasu pogłębić przyjaźni. Fruwa po powierzchni uczuć i idei. Ach! fruwa z nieskończonym wdziękiem. Lecz czyż mężczyzna tego pokroju co pan może się zadowolić takim płytkim urokiem? Czy nigdy nie pragnie pan czegoś bardziej poważnego i bardziej cierpkiego? Czytając powieści pana, często myślałam, że bardziej niż inni mężczyźni, będzie pan zdolny do rozmyślań, do tych długich poszukiwań, które powinny być, według mnie, istotą prawdziwej przyjaźni. — Wierzę jeszcze, że tę przyjaźń jestem zdolna panu ofiarować.

— — — — — — — — — — —

Wy mężczyźni stanowicie dziwne istoty. Władacie nami i przewyższacie nas siłą waszych myśli. Rozumiecie, budujecie, wyjaśniacie. Macie więcej stylu i więcej jędrności od nas. Lecz co się tyczy sądu o kobietach, jesteśmy sto razy przenikliwsze od was. Przedewszystkiem — jeszcze raz proszę nie myśleć, że chciałabym ganić pana za to, iż wolał pan Harriett ode mnie. Co do niej, zgadzam się (lub prawie się zgadzam z panem), o niej niema mowy. Możliwe, że jest ona więcej warta, niż pan przypuszcza, ponieważ pan w czasie swego pobytu pobudza ją do okazywania pewnych rysów dziecinnych i płochych, co jest w jej naturze dobre, lecz nie jedyne.

Nie, nie ganię ani Harriett ani nawet pana jako jednostkę, lecz wszystkich was mężczyzn za to, że zawsze bardziej pociąga was ładne oblicze, dobrze skrojona suknia, dobrze uczesane włosy, niż dusza kobiety, godna, by zwrócić waszą uwagę. Ale cóż właściwie kochacie? Fryzjera? Krawcową? Manicurzystkę? Instytut piękności? Czyż nie jesteście zdolni, by rozróżnić pod powłoką trochę mniej doskonałą, obietnicę szczęścia? My kobiety nie jesteśmy takie! Czyż mężczyźni, którzy mieli wielkie powodzenie w miłości, byli najpiękniejszymi, najlepiej ubranymi, najsławniejszymi? Wcale nie! Umiemy, zdaje mi się, odkrywać, nagrodzić siłę i genjusz w każdej ich formie. Nie jesteśmy niewolnicami krawca, ani bankiera. Widzimy istotę a nie pozory, podczas gdy wy....

Lecz śmieszne są moje skargi. Proszę o przebaczenie. Nie to chciałam napisać. Pragnęłam powiedzieć panu, że dla pewnej biednej dziewczyny przyjazd pana był świętem, że była przez miesiąc dość nieszczęśliwa i że teraz odzyskała już równowagę. Prosi jedynie o to, aby pan przyjaźnie myślał o niej i z sympatji dla niej, rzucił niekiedy trochę bardziej ciekawe i przenikliwsze spojrzenie na kobiety, które na pierwszy rzut oka wydadzą się panu brzydkie. Zobaczy pan, mój przyjacielu, któremu tyle innych zadało ból, jakiemi przyjemnościami odpłacą one panu ten trud.

POLITYKA I MIŁOŚĆ



Na lewo: Ks. Sigvard Bernadotte i jego małżonka artystka filmowa Eryka Patzek w ich berlińskiem „home".
Fot. Wide World.

Poniżej: Brat króla Karola rumuńskiego, książę Mikołaj i jego morganatyczne żona p. Saveanu.



Są pojęcia, które w miarę zmieniających się społecznych i gospodarczych warunków, tracą na znaczeniu i stają się coraz mniej zrozumiałe a na miejsce ich powstają nowe, odmienne niespodziewane. — Przykładów takich możnaby przytoczyć bardzo wiele choćby na krótkim odcinku ostatnich lat trzydziestu, kiedy to wojna światowa i jej skutki wprowadziły w życie nowe nieznane dotychczas zagadnienia i pojęcia.

Do takich coraz mniej zrozumiałych pojęć, o których jako o „ciekawostkach" czytuje się tylko raz po raz w pismach, należy mezaljans. Nic zresztą dziwnego, że słuchamy dziś o nim jak o żelaznym wilku: fala demokracji, która od połowy XIX wieku coraz bardziej opanowała świat, reorganizacja społeczeństw w ostatnich czasach na zasadzie zawodowej i grupowej, coraz silniejszy rozwój totalizmu, wszystko to, rzecz prosta, musiało usunąć w cień pojęcie, które w swoim czasie, opierając się na obserwacjach życiowych i na organizacji społecznej, było uważane za ważne zagadnienie.



Arcyksiążę Franciszek Ferdynand z żoną Zofją ks. Hohenberg.

Z jakiego źródła płynęło to pojęcie i jakie były jego początki? Gdy w Europie panował w średniowieczu ścisły podział na stany, zależnie od uprawianego rzemiosła — kler, rycerstwo, mieszczanie, chłopi, — istniał pogląd, że jedynie człowiek, którego wszyscy przodkowie należeli do tegoż samego stanu, może wypełniać swe obowiązki z należytem zrozumieniem ich i że on tylko będzie pełnowartościową jednostką, która już choćby z tradycji rodzinnej wysnuje zawsze właściwe wskazówki, jak należy postąpić w życiu. Pogląd ten niezmiernie jest stary i spotykany nietylko w Europie, ale zgoła na całym świecie. Na niem przecież, poza innymi czynnikami, opiera się podział na kasty w Indjach, Chinach, u różnych dzikich i cywilizowanych ludów, z niego też, mutatis mutandis wyszło pojęcie mezaljansu, dziś stosowane tylko do domów panujących lub arystokracji. A przecież pojęcie to w pewnym przynajmniej stopniu, święci dziś swój oryginalny i, można śmiało powiedzieć bardzo niespodziewany, renesans w postaci rasizmu, wykluczającego mieszanie dwóch ras, gdyż, zdaniem jego, powoduje to ujemne skutki dla potomków, czyniąc z nich istoty połowiczne i niezdecydowane a nadewszystko niepożądane dla państwa.

Jakkolwiek wielki kpiarz Bernard Shaw w swej komedji „Misalliance" o samem pojęciu słowa mezaljans, bardzo odmienne od tych tez wysnuwa wnioski, twierdząc, że ustalenie kto właściwie w danem małżeństwie popełnia mezaljans jest rzeczą nie tak łatwą, to jednak nauka fachowa, medycyna, genealogja, nauka o populacji itd. wysnuwają wniosek, który pokrywa się z zasadami naszych antycznych i średniowiecznych przodków. Literatura zajmująca się tem zagadnieniem jest niezwykle bogata: ujmowano temat ten z punktu widzenia filozofji (Schopenhauer), medycyny i nauk biologicznych, z punktu widzenia historycznego (hr. de Gobineau, Forst-Battaglia, dr. Ottokar Lorenz, itd.) starając się dociec do bezwzględnej prawdy. O ile wykazały dotychczasowe wyniki, to małżeństwa zawarte między jednostkami jednego typu, jednej sfery społecznej, umysłowej i obyczajowej dawały lepsze rezultaty u potomków, jak gdy matka i ojciec należeli do różnych warstw, typów psychologicznych itd. Współczesny filozof, polityk i znany twórca koncepcji Paneuropy hr. Coudenhove-Kalergi, w swej bardzo ciekawej książce „Praktischer Idealismus", dającej wskazówki na przyszłość dla stworzenia nowego społeczeństwa, znajduje się w rażącej

sprzeczności wobec wszystkich poprzednich teorji w tej dziedzinie. Twierdzi on bowiem, jakby na złość rasizmowi, — że najlepszym produktem społecznym będą potomkowie, pochodzący z skrzyżowania dwóch elit: elity wiejskiej — szlachty i elity miejskiej — żydów! Twierdzenia jego ciekawie pomyślane i filozoficznie przeprówadzone są, jak dotychczas — pozbawione bardziej przekonywujących przykładów.

Gdy odgraniczenie się stanów przestało być ściśle obserwowane i coraz częściej zdarzały się małżeństwa „międzystanowe", domy panujące chcąc utrzymać swą odrębność ze względów politycznych i rodzinnych, coraz silniej podkreślały swemi małżeństwami, że tylko pewne rodziny uważają za sobie równe, oznaczając małżeństwa z poddanymi lub z osobami pochodzącymi z mniej starych czy świetnych rodzin za mezaljansy. Konkretne określenie tych pojęć ustalało się jednak dopiero w końcu XVI. i początku XVII. wieku, zwłaszcza w Niemczech. I tak niektóre domy panujące wydały osobne ustawy rodzinne, w których określały dla swych następców z kim wolno im się żenić a z kim nie. W r. 1573 wydaje taki statut rodzinny książę Jan Wilhelm saski, a uczyni to w r. 1617 również książęcy dom wirtemberski, w r. 1588 takiż statut powstaje dla panujących hrabiów Königseck, 1607 dla domu Wittgenstein, 1614 domu Leiningen-Westerburg, itd. Pierwszy raz jednak sformułowano dzisiaj jeszcze w monarchjach obserwowane prawo „równego małżeństwa" w r. 1678 dla domu książąt Anhalt-Bernburg, poczem oczywiście poszły inne domy panujące. Jedynie Anglja, kraj o wielowiecznych, niepisanych ale niemniej trwałych ustawach zwyczajowych, nie uznał po dziś dzień tego pojęcia. W Anglji król nie może ożenić się ani morganatycznie ani „nierówno": każda małżonka o ile pochodzić będzie ze stanu szlacheckiego może być królową, idzie tylko o jej osobiste zalety, przeszłość, i stanowisko przed ślubem. Jeżeli się mówi o żonach „plebejskich" Henryka VIII, to popełnia się omyłkę, gdyż nie były one córkami domów mieszczańskich, lecz szlacheckich a choć daleko im było do splendorów królewskich, były jednak uważane jako równe królowi. To samo da się powiedzieć o ostatnich dwóch generacjach królewskiego domu angielskiego o którym ostatnio z racji małżeństwa Edwarda VIII z p. Wallie Simpson tyle mówiono: ani ojciec króla Edwarda, Jerzy V, który był żonaty z ks. Mary of Teck, ani też jego brat, obecny król Jerzy VI, nie ożenili się z pannami „równorzędnemi" według pojęć kontynentalnych, gdyż pierwsza pochodzi z linji morganatycznej domu wirtemberskiego, druga z starej arystokracji szkockiej, hr. of Strathmore and Kingshorne, — mającej wprawdzie królów w rodzie, (zresztą po kądzieli) ale nigdy nie panującej.

Wydawaćby się mogło, że obserwowanie tych przepisów jest dowodem wstecznictwa domów panujących: przy bliższem obejrzeniu sprawy okaże się jednak, że u źródła leżą czysto praktyczne i polityczne względy. Widzieliśmy jakie skutki pociągnęło za sobą małżeństwo Edwarda VIII, w historji spotkamy liczne wypadki kiedy małżeństwo było cementem polityki dwóch krajów, z drugiej zaś strony znów takie, które powodowały wewnętrzne burze, niesnaski, wpływ osób niepożądanych itd. Zgodnie też z doświadczeniem wieków, zgodnie z tezą średniowieczną, że „partus sequitur ventrem" (dziecko idzie w ślady matki), starały się domy panujące dobierać pieczołowicie swe żony. Oczywiście, że często popełniano błąd, biorąc pochodzenie za charakter, przymioty ciała za przymiotu umysłu i duszy i nie biorąc pod uwagę różnych niemniej ważnych momentów.

Zwłaszcza Habsburgowie stali się sławni przez mezaljansy, które poczynają u nich występować już w XVI. wieku a w końcu wieku XIX. i XX. doprowadzają nieraz do politycznie ważnych zmian, konfliktów i komplikacyj. Pierwszym, który wyłamuje się z ram narzuconych przez tradycję jest arcyksiążę Ferdynand, żeniący się z słynną z urody Filipiną Welser, (zmarłą 1580), córką zamożnej mieszczańskiej rodziny augsburskiej. Znajdzie on w swej rodzinie wielu naśladowców: Jana Ortha, żonatego z p. Plochl, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, żonatego z księżną Zofją Hohenberg, hr. Chotek, w ostatnich czasach arcyks. Leopolda Ferdynanda, męża córki pocztmistrza Adamovica, Wilhelminy, poczem przyjął on nazwisko Wölfling, następnie zaś w r. 1933 poślubił Polkę p. Klarę Pawłowską i kilka lat temu umarł w Berlinie jako portjer jednego z hotelów, wkońcu ożenił się arcyks. Franciszek-Józef z bar. Martą von Kahler (1937), arcyks. Ernest (1850) poślubił Alojzę Skublic, których córka Klotylda Pegger, 2 v. Szimiczowa, wystąpiła ostatnio o uznanie jej legalnego pochodzenia i o spadek po swym ojcu Erneście. Jakie skutki polityczne miało małżeństwo arcyks. Franciszka Ferdynanda, wiadomo: wpływ jego żony był wystarczająco duży, aby sprowadzić męża na nowe tory polityki i poważnić go z całą rodziną, a zwłaszcza z Franciszkiem Józefem I. Klasycznym niejako przykładem skutków politycznych mezaljansów w domach panujących jest małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą, które grożąc rozwielmożnieniem się Radziwiłłów na Litwie i w Koronie, stało się kością niezgody między królem a narodem. Wiele hałasu narobiło w Polsce małżeństwo królewicza Karola saskiego, syna Augusta III z panną Franciszką Krasińską: przez małżeństwo ich córki z ks. sabaudzkim stała się ona pramatką obecnej dynastji włoskiej.

W minjaturowem oczywiście wydaniu podobny konflikt prawno-polityczny wybuchł w księstwie Lippe, przed wojną światową, a jest on o tyle ciekawy, że w grę wchodzi rodzina polska. Gdy oto w r. 1905 umarł ostatni potomek panującej linji w ks. Lippe, Detmold, tron księstwa miał przypaść dziadkowi ks. Bernarda Lippe, małżonka ks. Julianny holenderskiej, Ernestowi hr. Lippe-Biesterfeld, zakwestjonowano jednak zdolność jego dziedziczenia, gdyż uważano go za nierównego urodzeniem z powodu, iż babka, Modesta Unrug, była z domu „prostą" szlachcianką z polskiej linji tej rodziny. — Specjalny trybunał przeglądał tę sprawę i posypały się różne na ten temat prace i rozprawy, zwłaszcza jedna ciekawa polskiego historyka zamieszkałego w Berlinie, Marcelego Janeckiego. Ostatecznie uznano ową pannę Unrug za równą swemu małżonkowi urodzeniem, z powodu, iż polska szlachta cieszyła się niezwykłemi prerogatywami i sprawa została zakończona. — Gdy z Francji do Szwecji przybył marszałek Bernadotte, książę di Ponte Corvo, był on „świeżo upieczonym" królem: w lat jednak niewiele potem, dynastja Bernadotte'ów idąc za ogólnemi wskazaniami, wprowadziła również i u siebie przepisy o „równych" małżeństwach, to też gdy wnuk króla ks. Sigvard ożenił się z p. Eriką Patzek, został wykluczony z domu królewskiego, i przyjął nazwisko Bernadotte. Jako obywatel amerykański i reżyser filmowy, demokratyczny książę rozpoczął nowe życie zdala od monarszego przepychu i jego etykietalnych wymagań.

Gdy więc przejrzymy galerję licznych morganatycznych małżeństw w domach monarszych i gdy weźmiemy pod uwagę polityczne skutki, jakie z nich wypłynęły, nie będziemy się dziwić, że domy te potępiają mezaljans, skoro nowe prądy opanowujące Europę w imię rasizmu, nawet „zwykłemu śmiertelnikowi" ograniczają swobodę wyboru dozgonnej towarzyszki życia.

Jan Maleszewski.

Na stare lata zaślubił w r. 1933 b. arcyksiążę Leopold Ferdynand, znany pod nazwiskiem Wölfling, Polkę p. Klarę Pawłowską: młoda para opuszcza berliński urząd stanu cywilnego.





ALEJA PALMOWA
Rio de Janerio
Fot. W. E. Chromiński.

PIONIERZY
KOLONIZACJI POLSKIEJ

Każde społeczeństwo i każde środowisko posiadać musi charaktery, skłonne do awanturniczych poczynań i wybryków, które są przejawem ich chęci „wyżycia się", chęci zbuntowania się przeciw powszedniości i monotonji bytu. Są jednak narody, którym ich położenie geograficzne umożliwia wykorzystanie tych elementów wrogich społecznemu szablonowi.

Anglja, która była zawsze krajem pionierów, umiała wyzyskać ten pęd do awanturniczości, karmiąc od dziecka obywateli swych specjalną literaturą „podróżniczą" i „awanturniczą" i tworząc z nich później doskonałych kolonistów w dzikiej Afryce, czy też Australji. Popularność Cecila Rhodesa byłaby nie do pomyślenia, gdyby każdy

Na prawo: Na trójmasztowcu „Łucja Małgorzata" odbyli polscy podróżnicy pod wodzą Stefana Szolc-Rogozińskiego podróż do Kamerunu.

Poniżej: Osada na wyspie Mandoleh, założona przez Rogozińskiego; obok domu widoczna mogiła Tomczaka. (Rys. Janikowskiego).





przeciętny Anglik nie znał z romansów Haggarda Ridera zmiennych kolei walk jego współbraci o zdobycie Południowej Afryki, krain Matabelów, Zulusów, Beczuanów i innych tubylców, których ujarzmienie stworzyło podstawy wielkiego imperjum kolonjalnego w tej części świata. Nazwiska Gordona i Kitchenera nie byłyby opromienione taką wielką sławą, gdyby nie specjalne nastawienie brytyjskich obywateli i gdyby nie propaganda, jaką uprawiano systematycznie przy pomocy dziesiątków powieści romantycznych, rozgrywających się u źródeł Nilu, na pograniczu Sudanu i w górnym Egipcie. I dziś nie jest inaczej. Wystarczy wspomnieć utwory Henty'ego, Doyle'a, Hichensa, Corelli, płody bezwzględnych imperjalistów, pisane z myślą zwrócenia uwagi szerszej publiczności na dominja angielskie lub kraje, gdzie Anglja ma żywotne interesy.

Polska szlachecka nie uważała się za państwo morskie, a idea Władysława IV stworzenia floty na Bałtyku i ujęcia w ręce handlu z zagranicą obcą była większości społeczeństwa. Żywioły awanturnicze wędrowały na „Dzikie Pola" i „wyżywały się" w walce z Tatarami. A później, kiedy Rzeczpospolita zaczęła chwiać się w posadach, nie stać nas było na zbytek interesowania się dalekiemi krajami, nawiązywania stosunków z Dalekim Wschodem, czy Zachodem, gdyż pożar szerzył się już na rodzinnej ziemi. I los sprawił, że w wieku XIX, wieku umacniania i zyskiwania zdobyczy kolonjalnych, Polska była wykreślona z liczby wolnych narodów. Dziś, kiedy odzyskaliśmy nasze mocarstwowe stanowisko i kiedy coraz częściej i coraz dobitniej podkreśla się polskie żądania kolonjalne, wskazane jest przekonanie społeczeństwa, że mimo stuletniej przeszło niewoli wykazaliśmy jako pionierzy idei kolonjalnej dużo energji.

Dzieje Jana z Kolna, domniemanego odkrywcy Labradoru i Krzysztofa Arciszewskiego, zdobywcy Olindy, Parahiby, Reale i Pernambuco, pierwszego w służbie duńskiej, drugiego holenderskiej, są niezbitym dowodem, iż w Polsce przedrozbiorowej nie było ani sposobności, ani zrozumienia dla podbojów egzotycznych krajów. Jednostek awanturniczych nie umiano zużytkować dla dobra państwa, jako odkrywców, gdyż Polska, będąca „przedmurzem chrześcijaństwa" przeznaczała ich z konieczności wyłącznie na żołnierzy. Tylko w wyjątkowych wypadkach kolizja z prawem, jak np. u Arciszewskiego — zabójstwo nieuczciwego opiekuna Brzeźnickiego — zmuszała „awanturników" do szukania szczęścia w służbie u obcych potencyj. Nie ulega też wątpliwości, że ani podróże, ani triumfy orężne naszych ówczesnych żeglarzy na żołdzie cudzoziemskim, nie przyczyniły się pod żadnym względem do ugruntowania wpływów polskich poza kontynentem europejskim, chociaż, jak dowodzi tego np. dziennik Eryka Lasoty ze Stebłowa *), pozostającego od 1580—1584 r. w służbie Filipa II, los lub przypadek wyznaczał i naszym rodakom pewne miejsce w szeregach armij, podbijających dalekie kraje.

W drugiej połowie XVIII w., zupełnie przypadkowo, zostaje podróżnikiem i odkrywcą krain egzotycznych jeden z wodzów Konfederacji Barskiej, opiewany przez Słowackiego, Maurycy hr Beniowski. Jego romantyczne przygody w czasie ucieczki z Kamczatki, podróż do Macao, a stąd na Madagaskar, znane były i są szerszemu ogółowi nie tyle z jego „Pamiętników", ile z utworów literackich, poświęcanych mu od czasu do czasu przez rozmaitych autorów. Większość utworów tych należy już do historji, jak popularny swego czasu dramat Kotzebuego p. t. „Sprzysiężenie na Kamczatce" lub grana w epoce triumfów Cherubiniego we Francji opera „Beniowski", ale powieści Sieroszewskiego („Beniowski", „Ocean") są przynajmniej w Polsce produktem niedawnych lat. Postać Beniowskiego, jego wybór na króla Malgaszów na Madagaskarze i śmierć od kul francuskich uwydatniają się wyraźnie tylko na tle epoki. Beniowski nie jest w ścisłem tego słowa znaczeniu odkrywcą, ma natomiast w swych poczynaniach wiele z awanturniczości Casanovy i Cagliostra, synów tej samej epoki i kosmopolitów, jak on, chociaż w porównaniu z nimi jest jednostką o wiele bardziej wartościową.

Pokaźne grono badaczy i podróżników naszych w w. XIX dowodzi, że w wyścigu pionierskim na terenie nieznanych krajów, dokonaliśmy rzeczy niemałych. I chociaż nazwiska Adama Sierakowskiego, Jana Potockiego, Antoniego Rehmana, Benedykta Dybowskiego, Jana Czekalskiego i in. znane są tylko niewielkiej ilości naszych rodaków, czas najwyższy, aby przeciętny Polak wiedział, iż odkrycia trzech najwybitniejszych naszych podróżników ubiegłego stulecia, P. E. hr. Strzeleckiego, Stefana Szolc-Rogozińskiego i Bronisława Grąbczewskiego znalazły słuszne uznanie w całej Europie, jako godne porównania z odkryciami geograficznemi największych pionierów kolonjalnych świata.

Podróże hr. Strzeleckiego przypadają na pierwszą połowę ubiegłego stulecia. Paweł Edmund hr. Strzelecki urodził się w 1797 r. i pochodził z szlacheckiej rodziny, osiadłej w Poznańskiem, w majątku Glucynie. Zamiłowanie do podróży okazywał już wcześnie, za czem przemawiają jego wycieczki w okresie studjów, do Szwajcarji, Włoch oraz ostatnia do Północnej Szkocji. Dokładna znajomość mineralogji i botaniki, pogłębiona wia-

*) Uw.: Wydany w 1866 r. w języku niemieckim w Halle, w 1913 w Coimbrze, po portugalsku.

domościami, nabytemi na uniwersytecie w Heidelbergu, umożliwiła mu zużytkowanie w praktyce zebranych w ciągu tych, dorywczych wypraw, doświadczeń już w pierwszej podróży do Kanady (w 1832 r.), gdzie odkrył bogate złoża miedzi. — W roku tym rozpoczyna się długa wędrówka Strzeleckiego po obcych krajach i morzach. Pobyt jego w Brazylji w 1833 r., zbadanie dziewiczych gór Sierra Estrella, a później mało znanych części Argentyny, Paragwaju i Chile były tylko etapami w jego podróży „dookoła świata", która zawiodła go wkońcu do Australji, gdzie miał dokonać najpoważniejszych odkryć. Terenem ich stała się przedewszystkiem Nowa Południowa Walja, kraj naówczas prawie nieznany pod względem geograficznym i geologicznym. Pięcioletni pobyt Strzeleckiego na kontynencie australskim uwieńczyło odkrycie przez niego w 1839 r. bogatych kopalni złota w Wellington, które zwróciło na niego uwagę miarodajnych czynników angielskich. Zbadanie Alp Australskich i zwiedzenie ich najwyższego szczytu, nazwanego przez Strzeleckiego Górą Kościuszki, były jednak odkryciem, które zadecydowało o zaliczeniu go, po powrocie do Londynu w 1843 r., do rzędu najwybitniejszych pionierów europejskiej cywilizacji.

Dopiero dziś można ocenić objektywnie, jak wielkie zasługi dla rządu brytyjskiego położył Strzelecki w kolonjach Australji. Nadanie mu komandorji cennego orderu Michała i Jakóba, udzielenie pozwolenia na eksploatację złota na terenach przez niego odkrytych i zaszczytne wyróżnienie jego pracy p. t. „Opis fizyczny Nowej Południowej Walji" przez londyńskie Towarzystwo geograficzne, były tylko częściową rekompensatą władz brytyjskich, uznających w pełni trudy i wysiłki, poniesione przez naszego rodaka.

Drugim naszym wybitnym pionierem kolonjalnym, dokonywującym odkryć z wyraźnym celem przysporzenia sławy ojczyźnie, był Stefan Szolc, znany powszechnie pod nazwiskiem Rogozińskiego (nazwisko jego matki), którego używał, aby nie uważano go na obczyźnie za Niemca. I w tym wypadku pęd do poznania egzotycznych krajów był jednym z głównych powodów jego działalności, jako odkrywcy nieznanych ziem, ale warunki, w jakich spracował, były znacznie cięższe, niż w życiu Strzeleckiego, gdyż posiadał w porównaniu z nim o wiele mniejsze środki materjalne.

Wyprawa Rogozińskiego do Kamerunu w 1862—1884 r., dokonana wraz z geologiem Klemensem Tomczakiem, który końca jej nie doczekał, gdyż umarł w 1894 r. na wyspie Manoleh, wyczerpany żółtą febrą, doprowadziła do ciekawych odkryć na terenie od zatoki Ambas po ujście rzeki Rumby (Mameh), który naówczas był geograficzną zagadką. Ekspedycja Rogozińskiego uzupełniła wiadomości cywilizowanego świata o wybrzeżu Kamerunu, o Górach Kameruńskich, o kraju Bakundu, i wyspie Fernando Poo, której wnętrze było do czasu jego podróży nieznane i na której najwyższy szczyt Clarence wspiął się nasz podróżnik, jako pierwszy z Europejczyków. Prace, mapy i opisy Rogozińskiego, odnoszące się do wierzeń, obyczajów i życia plemion tubylczych, jak Bakwiri, Bamboko, Issubu itd., były na owe czasy rewelacją. Niestety i one przyniosły bezpośrednie korzyści tylko obcym narodom. Kamerun, mimo usiłowań Rogozińskiego poddania go pod protektorat Anglji, przypadł Niemcom, przeciw którym podróżnik nasz występował tak zdecydowanie, że nawet Bismarck zaatakował go publicznie w 1885 r., zarzucając mu bróżdżenie w polityce kolonjalnej.

Wartość wysiłków Rogozińskiego należy tem bardziej oceniać, gdyż podstawę funduszów na wyprawę stanowił własny jego majątek. I jeśli Siemiradzki nazywał ją swego czasu awanturniczą (w r. 1890), to dziś słuszną jest rzeczą zaliczyć Rogozińskiego do tych bezinteresownych awanturników, którzy zdolni byli położyć podwaliny pod kolonjalną potęgę Polski, gdyby los im tylko na to pozwolił. Niestety, odkrywca Kamerunu musiał już ze współczesnymi walczyć o uznanie. Zasługi jego były jednak duże nawet w oczach Niemców, kiedy postarano się, aby w Kamerunie zniknęły ślady po polskim badaczu, a nazwiska, nadane przez niego jeziorom, górom i rzekom, odkrytym w czasie jego podróży, odpowiednio zmieniono i przeinaczono.

Żoną Rogozińskiego była znana powieściopisarka polska „Hajota" (Helena Boguska), która poznawszy w ciągu podróży, przedsiębranych z mężem, życie na wybrzeżach afrykańskich, przedstawiała w swych utworach stosunki, panujące w tych okolicach, kładąc jednak nacisk raczej na konflikty natury społecznej, niż egzotyczne tło. Szolc-Rogoziński zmarł w 1896 r. na Fernando Poo.

Wyprawa Rogozińskiego do Kamerunu uważana była przez wielu naszych rodaków za mrzonkę i tylko własnej wytrwałości, pomocy materjalnej hr. B. Tyszkiewicza i życzliwości niewielkiej garści współobywateli — należał do nich i H. Sienkiewicz — zawdzięczamy, że doprowadzoną została do końca. Obojętność, z jaką odnosiła się do niej większość społeczeństwa, zobowiązuje nas dzisiaj, po latach, kiedy zdajemy sobie w pełni sprawę z doniosłości odkryć Rogozińskiego, do szczególnego podkreślenia jego zasług.

Dokończenie na str. 18-ej.





Na lewo: Mieszkańcy Madagaskaru od czasów pobytu hr. Beniowskiego na wyspie wzorują nakrycie głowy na polskich konfederatkach.
Fot. mjr. Miecz. Lepecki.

Na prawo: Uroczysty strój czarodzieja z okolic Gór Kryształowych, noszony przez plemię Fan. (Ze zbiorów S. S. Rogozińskiego w Muzeum Etnograficznem w Krakowie).









Od lewej: Najsławniejsi w przeszłości polscy podróżnicy, którzy polską flagę zatknęli nad dalekiemi lądami: Maurycy hr. Beniowski, zdobywca Madagaskaru, Paweł Edmund hr. Strzelecki, badacz Australji, i odkrywca „Góry Kościuszki", Stefan Szolc-Rogoziński, kierownik polskiej wyprawy do Kamerunu i jenerał Grąbczewski, badacz niedostępnych okolic dalekiej Azji.

Zwierzęta i dziecko

Dzieci dzielą się na dwie grupy: takie, które spieszą radośnie do każdego zwierzęcia i takie, które od każdego uciekają w popłochu. Jest to oczywiście kwestja odpowiedniego wychowania. Gdy małe dziecko straszy się — chociażby przy opowiadaniach bajek — złemi zwierzętami, gdy mówi się im o potwornych wilkach, pożerających babcie Czerwonych Kapturków— skutek oczywiście musi być taki, że dziecko bać się będzie zwierząt wogóle i dużo kłopotu będą mieli rodzice, ażeby przyzwyczaić dziecko do widoku zwierzęcia bez wywoływania w dziecku wstrząsów nerwowego przerażenia.

Każdy psycholog i pedagog stwierdza, że fatalnem w skutkach jest wogóle straszenie dzieci czemkolwiek: dziadem, kominiarzem, ciemnym pokojem. Dziecko takie nieraz potem przez całe życie niesie w swej duszy jakieś dla niego nawet samego niezrozumiałe straszydła, ma różne nerwowe objawy, które oczywiście z biegiem lat dać mogą wynik nawet w postaci poważnej choroby nerwowej.

Tembardziej straszenie dzieci zwierzętami jest złe, gdyż przecież więcej widzi dziecko koło siebie zwierząt niż dziadów czy kominiarzy, nie mówiąc już o różnych złych duchach, czarownicach i całej furze zabobonów, wnoszonych w chłonną psyche dziecka najczęściej przez drzwi kuchenne dzięki bezkrytyczności matki lub dla jej wygody. Równocześnie zaś zamyka się przez to przed dzieckiem jedną z najpiękniejszych kart, jakie ma życie, a mianowicie ukochanie przyrody, zrozumienie zwierzęcia i jakże czarowne współżycie dziecka z czworonożnemi czy skrzydlatemi przedstawicielami „starej rasy" ziemi.

Dziecko, które od najwcześniejszych lat boi się zwierząt, dziecko, któremu rodzice nie pozwalają zbliżyć się do żadnego psa czy kota, wiewiórki czy konia — traci wielką ilość pięknych przeżyć i staje się zazwyczaj niezdolnem do normalnego poglądu na zwierzęta i do życia z niemi.

Natomiast ileż radości dla dziecka, ileż gorącego zadowolenia dla rodziców daje współżycie dziecka z zwierzęciem. Naprzykład na wsi, gdzie dziecko kochające zwierzęta, to znaczy odpowiednio w tym kierunku wychowane, może zbliżyć się do różnych przedstawicieli gospodarstwa domowego, bawić się z psem (oczywiście pewnym), kotem, głaskać krowy i konie (również pewne), osiołki, karmić drób i t. d. Takie wakacje przyczyniają się bardzo do ogólnego rozwoju umysłowości dziecka.

A i w mieście sposobności jest dużo.

Możnaby powiedzieć, że z natury — każde dziecko ma pociąg do zwierząt, czego znajdujemy dowód chociażby w tem, że najulubieńszemi jego zabawkami są właśnie figurki misiów, piesków, kotków, królików i t. d. Należy więc przez odpowiednie wychowanie rozwijać i kształtować w dziecku tę wrodzoną sympatję do zwierzęcia.

W Warszawie, Krakowie, Poznaniu czy Zamościu — a więc w miastach, posiadających zwierzyńce, dzieci powinny być tam jak najczęstszymi gośćmi. Wtedy to można powoli wpoić w nie zrozumienie, że są zwierzęta dzikie, ale że dzikość ich nie wypływa stąd, jakoby były „niedobre", lecz że już „tak muszą", że to jest ich walka o życie, o pożywienie. Natomiast należy unikać pokazywania dzieciom zwierząt, przebywających w złych warunkach, w menażerjach wędrownych, należy unikać prowadzenia dzieci do cyrków, będących męczarnią zwierząt i poniżeniem człowieka.

Odpowiedniem wychowaniem dziecka dajmy mu więc jak najwięcej radości w współżyciu z zwierzęciem — i sobie dajmy też tę radość, jaką każdy człowiek normalny odczuć musi na widok dziecka, bawiącego się z którymś z „braci" czy „sióstr" świętego Franciszka z Assyżu...

WITOLD ZECHENTER.



1



2



3



5



4

1: Łakoma koza korzysta ...czodrze z „filantropijnych" skłonności chłopca.
2: Początek znajomości z... wiada się jaknajlepiej, ale...
3: ...wkrótce nastąpi roz... owcnie z akompanjamentem płaczu...
4: Małe bobo wyciąga z... kawością swą rączkę w stronę kudłatej małpy.
5: Źrebię wiernie towarz... y chłopczykowi, gdyż spodziewa się od niego jeszcze sporej porcji c... u.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: MICHAEL LORANT, LONDYN

Dokończenie ze str. 15-ej.

W znacznie lepszych warunkach pracował Bronisław Grąbczewski w tajemniczej Azji Środkowej. Jako oficer w służbie rosyjskiej, brał udział w wyprawie do Kokandy, do doliny Fergany i do sąsiadujących z nią terenów górskich, które stanowiły jeszcze wówczas niepodległą krainę. Właściwa jego praca, jako ,ada [illegible] ści Azji rozpoczyna się dopiero po opuszczeniu armji czynnej i przeniesieniu się do administracji wojskowej na terenach, świeżo pozyskanych przez Rosję. Grąbczewski miał wybitne zdolności poliglotyczne, niespożytą energję i dar pozyskiwania sobie ludzi. Nic też dziwnego, że podróż do Kaszgarji, prowincji zachodnich Chin, którą odbył jako urzędnik do szczególnych poruczeń przy gubernatorstwie Fergany w 1885 r. i którą później opisał, zwróciła na niego uwagę nie tylko władz wojskowych, ale i Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu (srebrny medal za sprawozdanie naukowe z tej wyprawy).

Od czasu przedsięwziętej w 1886 r. ekspedycji do źródeł Indu i na południowe zbocza Himalajów (r. 1888) uwieńczonej zbadaniem Pamiru, zwanego „Dachem świata", Hindukuszu i gór Kaszgarskich uchodzi za jednego z najwybitniejszych badaczy nieznanych ziem Azji Środkowej. O jego znajomości ludzi i zdolności pozyskiwania sobie sympatji tubylców świadczy odkrycie w tej podróży przez Grąbczewskiego legendarnych kopalń nefrytu w dolinie rzeczki Pil. Kopalnie te, o których pamięć oddawna zaginęła i do których rząd chiński celowo zniszczył ongiś wszelkie drogi, odszukał nasz podróżnik dzięki jednemu z Kirgizów. Okazało się później, że są to te same kopalnie, z których pochodzi wspaniały monolit grobowca Tamerlana w Samarkandzie. Powody zaniechania przez rząd chiński tych cennych kopalń są natury dosyć zagadkowej. Wieść ludowa głosi, że zakaz eksploatacji ich był następstwem śmierci jednego z władców chińskich, który, śpiąc na łożu z nefrytu, nabawił się niebezpiecznych, nieuleczalnych owrzodzeń, co spowodowało, po jego zgonie, rozbicie łoża nefrytowego na kawałki, okucia ich w kajdany — Chińczycy nakładają bowiem kary nie tylko na ludzi, ale i na przedmioty — i rozrzucenia na drogach państwowych.

Największe zasługi pionierskie położył jednak Grąbczewski w czasie swojej podróży na płaskowzgórze tybetańskie, w latach 1889—91 i w góry Ałtyn-Tag (Góry Złotonośne), gdzie zbadał tereny zupełnie dotąd nieznane Europejczykom i gdzie przeprowadził trudne studja geologiczne, odnoszące się do złotonośnych piasków Sourgaku.

Nazwiska ziem, przez które przeszedł, wykazując zawsze zdumiewający hart ducha, nazwiska miast i miasteczek, które zwiedził brzmią dzisiaj jeszcze w uszach naszych obco i tajemniczo, jakby z Opowieści Tysiąca i Jednej Nocy. Dorzecza Tisnafu, Jarkiendu, Narynu, Susamyru, pasma gór Ferdańskich, i Aleksandryjskich, szczyt Czarkem, szczegółowo zbadany przez Grąbczewskiego, pogranicze Kafirystanu, ziemie Kandżutu, Darwazu i szeregi tych zagrzebanych w górach osad, zamieszkałych przez Kaszgarów, Kirgizów i Toglików, stanowią może dla przeciętnego czytelnika pojęcia oderwane, określenia, o których nigdy nie słyszał, nie można jednak zapominać, że w kołach fachowców, w sferach naukowych i wojskowych, interesujących się zagadnieniem Centralnej Azji, są one, dzięki Grąbczewskiemu i jego następcom, synonimami postępu cywilizacji europejskiej w tym trudnym i nieprzystępnym terenie, jakim dziś jeszcze są kraje, leżące u stóp Pamiru i Himalajów.

Wyprawa w 1889—91 r. zadecydowała o światowym rozgłosie Grąbczewskiego. — Późniejszy pobyt na Syberji, w Porcie Artura i pod Amurem podkreśla już raczej jego zdolności administracyjne. Przeniesiony w r. 1906 do Astrachania, jako gubernator i hetman kozaków, przebywa tam do 1910 r. — Ostatnie miesiące życia spędza w Warszawie, poświęcając się pracy literackiej.

Los chciał, że większą część życia swego Grąbczewski spędził na obczyźnie. Na Syberji, gdzie ojciec jego zesłany był za czynny udział w powstaniu 1863 r., pełnił od 1899 r. ważny urząd generalnego komisarza Kwantungu. Posiadał szereg odznaczeń rosyjskich, nigdy jednak nie był karjerowiczem i nigdy nie zapomniał, że jest Polakiem. Mając możność zatracenia polskości w środowiskach obcych, nieraz nam wrogich, nie sprzeniewierzył się narodowym tradycjom i dlatego, chociaż pracował dla zaborczego rządu, mamy pełne prawo uważać go za jednostkę, której praca naukowa winna znaleźć w społeczeństwie naszem powszechne uznanie.

W ostatnich latach przed wojną światową i po odzyskaniu niepodległości, liczba podróżników naszych znacznie wzrosła, ale zmalała też doniosłość ich wysiłków na polu geograficznem. Dzikie ongiś kraje uległy naporowi cywilizacji, która przekształciła je w nowocześnie urządzone państwa; nieznane jeszcze przed pięćdziesięciu laty tereny zostały udostępnione i przestały być zagadką. Pozostało jednak wiele do uczynienia na terenie propagandy kolonjalnej i dlatego z całem uznaniem należy odnieść się do prób popularyzowania egzotyki przez odczyty i sprawozdania z odbytych podróży (Janisz, Nowak i in.). Wielkie zasługi w tej dziedzinie wykazuje w naszych czasach Liga morska i kolonjalna, popularyzując wśród szerokich sfer zagadnienie kolonij. Na wykonanie jednak czeka przedewszystkiem praca kolonjalna, albowiem wobec nowego układu sił i podziału państw europejskich na zaopatrzone i niezaopatrzone w surowce, problem kolonij dla narodów żywotnych, a nie mających możności pozbywania się nadmiaru mieszkańców, staje się coraz ważniejszy. Wprawdzie wysiłki naszych odkrywców i podróżników poszły, z punktu widzenia ojczystych interesów, na marne, dowiodły one jednak, że mamy prawo do rekompensaty w tej dziedzinie teraz, kiedy staneliśmy do wyścigu pracy, czekającej wszystkie narody cywilizowane. **W. St.**

JUBILEUSZ ARTYSTY

TRZYDZIEŚCI LAT PRACY WACŁAWA NOWAKOWSKIEGO



Uroczystość jubileuszowa W. Nowakowskiego na scenie Teatru im. Słowackiego w Krakowie. — Do jubilata (w kostjumie Wojewody) przemawia prezes ZASP J. Śliwicki.



Scena z II aktu „Zaczarowanego koła" L. Rydla. Oracja Wojewody (W. Nowakowski).

Jubileusz aktora jest dniem ważnym nie tylko jubilata, ale i w dziejach kultury teatralnej. Jubilatowi pozwala przekonać się o dowodach sympatji i uznania, jakie zdobył w społeczeństwie; w dziejach kultury teatralnej zaznacza się rekapitulacją pracy artysty, przyczynkami do ruchu teatralnego, w jakim jubilat brał udział. Tak nikłą bowiem jest historja polskiego teatru, a przedewszystkiem historja gry aktorskiej, że każda notatka, oczywiście notatka prawdziwa i objektywna ma wagę dokumentu. Aktor stwarza kreację, która żyje tak długo, jak długo pokazuje się na scenie. Jeżeli nie utrwali jej film i płyta dźwiękowa, lata przyszłe nie będą mieć pojęcia o tej kreacji, jakości jej i znaczeniu. Recenzje mało mówią, dotyczą zresztą poszczególnych przedstawień i ról. Syntezę gry aktorskiej może dać tylko monografja, a dla niej doniosłemi przyczynkami są szkice jubileuszowe krytyków, którzy danego aktora znają, pracę jego obserwują i trafnie oceniają. Z tych przyczyn jubileusze, które zadzierżgają silniejsze węzły między sceną i widownią, grają też ważną rolę w życiu kulturalnem.

Przed kilku dniami byliśmy w Krakowie świadkami jubileuszu artysty nadzwyczaj pracowitego i zasłużonego, indywidualności wybitnej, jubileuszu 30-lecia pracy aktorskiej i reżyserskiej Wacława Nowakowskiego. Dowodem sympatji i uznania, jakiem cieszy się artysta, był fakt zawiązania się specjalnego obywatelskiego komitetu, który w dniu 5 stycznia b. r. uczcił Wacława Nowakowskiego skromną uroczystością — przygotowaną wespół z dyrekcją Teatru im. Słowackiego i zespołem aktorów. Pracę Wacława Nowakowskiego uczczono poważniej, aniżeli się to zwykle dzieje. Wydano bowiem z okazji jego jubileuszu jednodniówkę teatralną, której wartość jednak jest trwała. Zawiera ona artykuły, charakteryzujące rozwój talentu i dorobek sceniczny artysty, a więc jest już ważnym przyczynkiem do dziejów polskiego teatru i aktorstwa.

Zarówno w przemówieniach jubileuszowych, jak i w tem właśnie wydawnictwie podkreślono, że Wacław Nowakowski to już rzadki w polskim teatrze typ aktora bohaterskiego, mogącego zarówno dzięki warunkom fizycznym, jak i rodzajowi talentu uplastyczniać scenicznie potężne kreacje literackie wielkiego repertuaru romantycznego, repertuaru klasycznego.

Na uroczystość jubileuszową wybrał Wacław Nowakowski niedocenianą baśń dramatyczną Lucjana Rydla „Zaczarowane koło", w której kreuje rolę Wojewody. Dał mu imponującą postawę, świetny sposób noszenia kostjumu, siłę głosu i rysy charakteru, kapitalnie wyczytane z tekstu poety.

Obok jubilata w przedstawieniu, przygotowanem reżysersko przez J. Karbowskiego, świetną kreację stworzyła Janina Jabłonowska w roli Młynarki. Krytyka podkreśla ponadto, że szczególnie dobrze grali: T. Burnatowicz, W. Macherski, J. Karbowski, J. Jaroń, L. Ruszkowski i in. **(b)**



Scena z III aktu „Zaczarowanego koła". — Młynarka (J. Jabłonowska) i Jasiek (T. Burnatowicz).

Na prawo: Wacław Nowakowski przemawia do publiczności w czasie uroczystości jubileuszowej.

Wszystkie zdjęcia fot. Dr Azet, Kraków.



Zimowe »restauracje« dla ptaków



Miło przedstawiają się na Semmeringu koło Wiednia karmiki i budki ptasie, umieszczone na drzewach zdobnych w święte obrazy.

Ochrona ptactwa w zimie zyskuje coraz większe zrozumienie wśród szerokiej rzeszy ludności, która zaczyna doceniać, czem są dla niej te przyjemne, umilające czas świergotaniem — śpiewaki.

Ptak jednak nietylko umila czas człowiekowi, ale staje razem z nim do walki z różnymi szkodnikami roślin uprawnych, mamy więc w nim dobrego sprzymierzeńca w tak mozolnej walce o chleb codzienny.

Według obliczeń znakomitego uczonego polskiego, prof. dra Mokrzeckiego, straty, które ponosi nasze leśnictwo, rolnictwo i ogrodnictwo skutkiem owadów sięgają rocznie jednego miljarda złotych.

Czynniki miarodajne, rozumiejąc znaczenie ochrony ptactwa, któremu postęp kultury niesie zagładę, robią ze swej strony co mogą. Ruch krzewienia idei ochrony ptaków w Polsce podjęły „Stacje ochrony przyrody", ale aby ta akcja mogła wydać poważniejsze rezultaty, musi wciągnąć w zakres swego działania całe społeczeństwo. Zagadnienie to staje się obecnie bardzo palące.

Ciągły postęp człowieka naprzód, poddanie całej natury pod jego panowanie stworzyły dla ptaków bardzo złe warunki.

Wycięcie lasów samosiewnych i zastąpienie ich kulturami sadzonemi pod rząd spowodowało zmniejszenie się ilości ptaków do połowy.

Racjonalna gospodarka zastępująca cepy młocarniami, utrudnia ptakom znalezienie pokarmu. Tak samo konieczne tępienie chwastów po miedzach umniejsza pokarm ptactwu.

Ale nietylko te czynniki dziesiątkują ptactwo. Największym ich niestety wrogiem jest również człowiek, kóry zastawia na ptactwo sidła. Ofiarą ludzi w ten sposób padają szczygły, czyżyki, szpaki, gile.

Żyje więc ptactwo w bardzo trudnych warunkach, które powiększają się w okresie zimowym. Poważnem więc zadaniem w tym czasie staje się dokarmianie ptactwa. Mając to na uwadze, stawiamy w ogrodach prywatnych, parkach publicznych lub nawet przy mieszkaniach specjalne karmiki, w których dajemy ptakom pożywienie. Karmiki są tak zbudowane, że śnieg nie zawieje pokarmu, a również dostęp kotów, tych największych wrogów świata ptasiego, jest utrudniony.



Oto najpopularniejszy karmik ptasi, zwany „domkiem heskim".

Najłatwiej posługiwać się przy dokarmianiu ptactwa płytkiemi karmikami, krytemi daszkiem lub też pudełkiem z daszkiem, przywiązanem do krzaku lub płotu, względnie ułożonem na parapecie okna. Specjalnym karmikiem dla ptaków jest t. zw. „Domek heski". Jest to skrzynka, umieszczona na palu, pod daszkiem wspartym na 4 palach. Do zawieszenia na balkonie nadaje się karmik, który jest niejako połową „domu heskiego".

Karmiki dla ptasząt można sporządzić tanim kosztem przy odrobinie sprytu. Najłatwiej wykonać maleńki domek z gałązek drzew i świerczyny i zawiesić przed oknem. Taki maleńki karmik sprawia zarówno dorosłym, jak i dzieciom wiele przyjemności, umożliwiając im podziwianie żarłocznej czeredy, która z radością i świergotaniem rzuca się na przygotowaną strawę. Przez karmiki jak i budki mieszkaniowe, które powinny się znajdować w każdym ogrodzie, przywiązujemy tak dalece ptactwo do siebie, że pozostaje ono w nim przez cały rok, uważając go za swoją właściwą ojcowiznę.

Najlepszem pożywieniem dla ptaków są nasiona oleiste, jak: konopie, len, mak, słonecznik, pozatem nasiona pomidorów, ogórków, pestki dyni, owies, kasza jaglana, suszone jagody bzu czarnego, mrówcze jaja i suszone chrabąszcze. Tłuszcze podaje się przedewszystkiem sikorkom i barglom w postaci mięszaniny łoju i niesolonego sadła z dodatkiem nasion lnu i konopi. Można przytem zastosować następującą proporcję: dwie części szmalcu wieprzowego i jedną część łoju rozpuszcza się na ogniu i do tego dodaje wymienione nasionka. Całą tą rozpuszczoną masę należy następnie wylać do naczynia z wodą, gdy zgęstnieje, wyłożyć ją na deseczkę i zrobić z niej cienkie wałeczki. Pokarm ten zamiast w karmikach najlepiej umieszczać na nacięciach pręta lub też zawieszać na sznurku przed domem lub na drzewie. W niektórych miastach, gdzie ochrona ptactwa znajduje duże zrozumienie, można się spotkać ze specjalnie urządzonemi automatami, które za wrzuceniem niewielkiej opłaty wysuwają paczuszki z mięszanką ziarna, przeznaczonego dla ptactwa. Takie automaty można widzieć w większej ilości zdrojowiskach zagranicznych, a szczególnie na Semmeringu k. Wiednia.

Tam to bowiem kuracjusze spacerują po pięknych alejach i uprzyjemniają sobie czas dokarmianiem ptactwa. Nic więc dziwnego, że praktyczny zarząd miejski ułatwiając gościom poszukiwanie składów z ziarnem — wprowadził tak pożyteczne automaty.

Pięknie i niezwykle ciekawie przedstawia się Semmering. Wiele drzew w tej miejscowości kuracyjnej jest udekorowane domeczkami ptasiemi i praktycznemi karmikami, a co ciekawsze, bardzo często i obrazami świętych, co świadczy o wielkiej pobożności tamtejszych mieszkańców.

Przystępując do dokarmienia ptaków, należy pamiętać, aby zamiast pożytku, nie przynieść szkody. Mając to na uwadze, podajemy ptactwu pokarm świeży, zatęchłe, cuchnące tłuszcze, oraz spleśniałe ziarno działa bowiem zabójczo na organizm ptaka. To samo można powiedzieć o pożywieniu słonem i o mokrem pieczywie.

By dokarmianie przyniosło korzyść, musi być prowadzone stale i systematycznie podczas całej zimy.

Wróble — ptaszki bardzo chytre, często nie pozwalają się zbliżać innym ptakom do karmika. W miastach, gdzie pożytecznych ptaków brak, można je pozostawiać w spokoju, ale na wsi dobrze jest nad karmikiem porozwieszać kilka nitek kolorowych. Ostrożny wróbel sądząc, że to sidła, nigdy się nie zbliży do pożywienia, natomiast inne ptaszki nie zwracają na nie uwagi.

Aby akcja dokarmiania ptactwa przyniosła pożytek, musi w niej wziąć udział całe społeczeństwo.

Niechże więc w obecnej zimie nie będzie u nas ani jednego balkonu, ani okna bez karmika, w którymby litościwa ręka nie umieściła codzień chociaż troszkę karmy.

A więc pójdźmy za hasłem: „Wszyscy na front ochrony pożytecznych ptaków".

Z. Dr.



POMOC ZIMOWA...
Sikorki pożywiają się na patyku posmarowanym mieszaniną z łoju i ziarna.
Fot. A. Dobrski, Mańkiewicza.

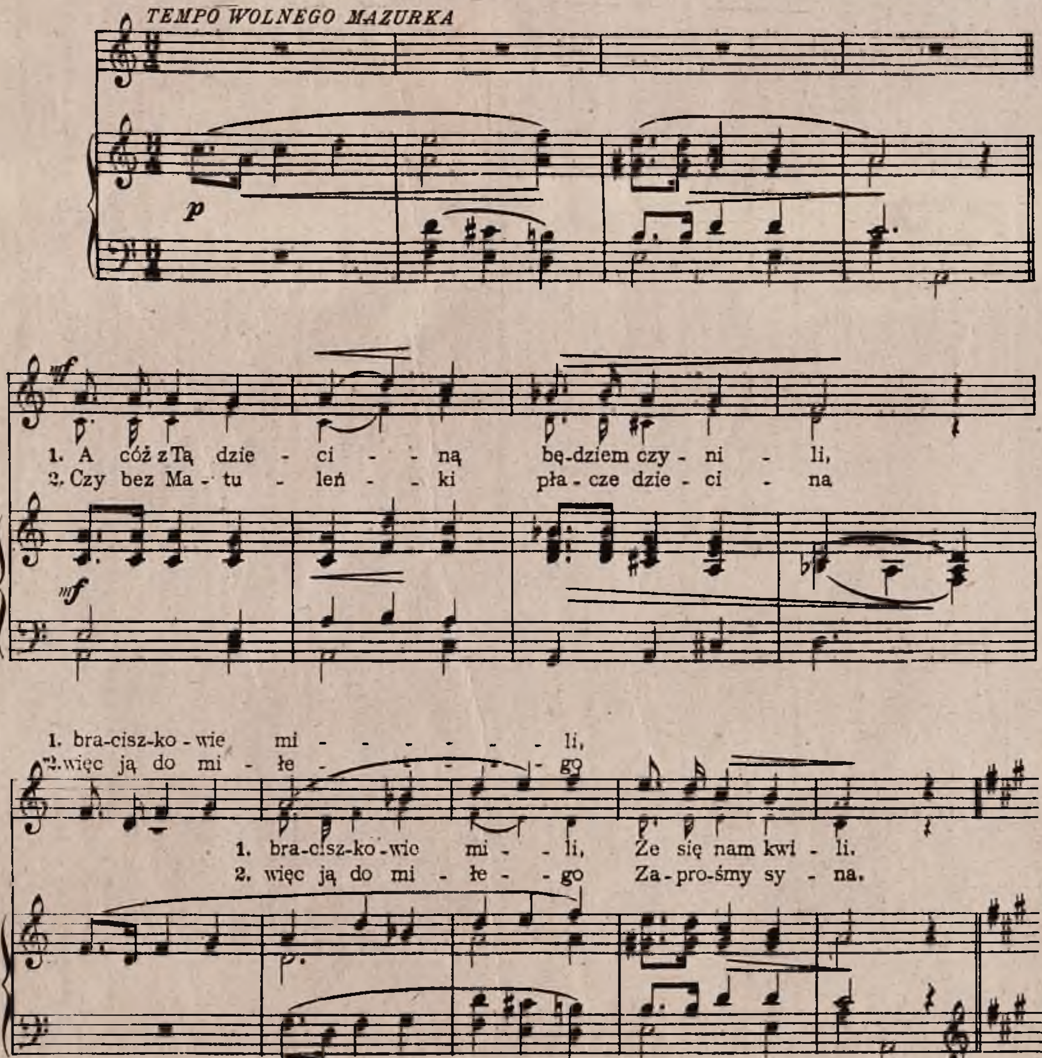
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

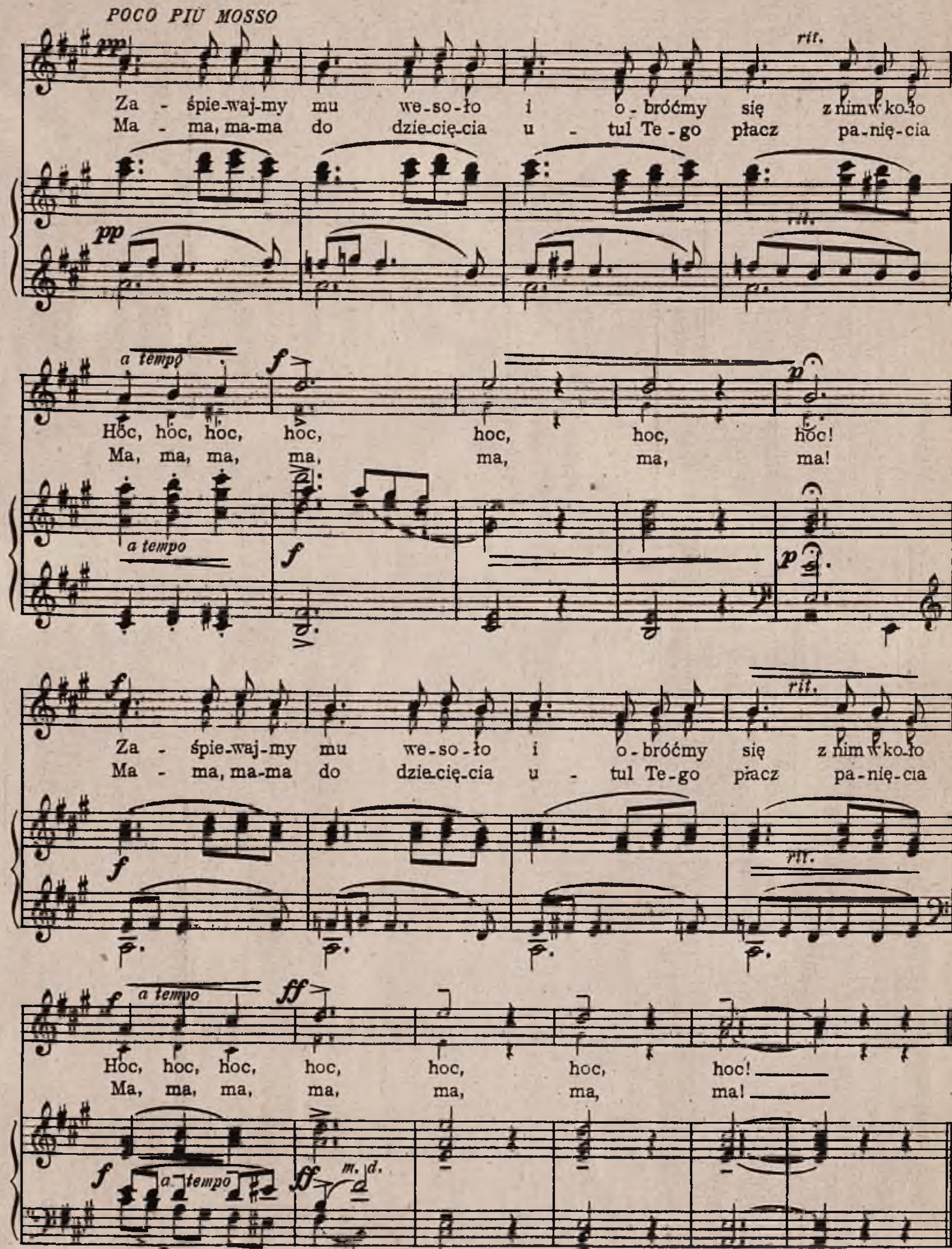
A cóż z tą dziecina...

KOLENDA

✦

WŁODZIMIERZ POŹNIAK





-Ale waszrość toś istny mjennik. Doujerodeś ... ... nierce psy wieszał, a jużby unie do grodu pozywał, item ci królowie nie pozwolili na wroga nacierając.-

-Tak mówisz mości porucznikuu, jakbyś pana Łęckiego od dziś dopiero znał.-odezwał się starosta uświatski Jan Paweł Sapieha - Toćże on do gardłowania pierwszy, ale gdy hostes zobaczy też drugim być nie chce. Źle mówię panie Tomaszu?-

KIRCHHOLMSKI TRIUMF

SZKIC HISTORYCZNY

ROMAN BACH-ŻELEWSKI

— Psia służba! Chciałoby się doma trochę posiedzieć i ciepła rodzinnego zażyć, a tu goń o głodzie z miejsca na miejsce bez wytchnienia!

— Nie narzekałbyś mości Lacki. Taki już los żołnierza. Ja bo dziękuję Bogu, iż ziemia nie rozmokła, gdyż moja husarja impet wziąć będzie mogła — odparł pan porucznik Wincenty Wojna.

— Waszmość toś się pod szczęśliwą gwiazdą chyba urodził! Ani chybi hetman waści jutro pierwszego na Szweda pchnie, a człek za największy uśmiech fortuny policzy sobie, jak mu po porżniętych przez waszmości nieprzyjaciołach przejechać się pozwolą!

Małomówny pan Dąbrowa patrzył chwilkę na Sapiehę nim odrzekł.

— Przeczyć trudno.

Pan Teodor Lacki wielce z siebie zadowolony pokręcił wąsa i pogładziwszy czuprynę, podjął przerwany dyskurs.

— Jużto waszmoście nie będziecie mi negować, że źle nam się dzieje. Człek do gęby nie ma co włożyć oddawna i dziw to będzie, jeśli rapcie nam wkrótce specjałami się nie zdadzą. A żołd nasz widzieliśmy — to dziś, wczora albo przed miesiącem?

— Szczera to prawda! — dorzucił pan starosta uświatski. — A i to prawda, że zostawili nas tu niebożątka, jak na pożarcie, boć trudno inaczej nazwać, gdy tak parva manus tyle kraju przed znaczną potęgą szwedzką ma bronić. Obietnicami nas mamią, a ni żołdu, ni posiłków!

— A wiecie waszmoście, kto wszystkiego tego zła jest przyczyną? — rzucił gwałtownie pan Lacki. — Król, nikt inny tylko król, który wygubiwszy tu nas, defensores patriae i wolności szlacheckiej, tego klejnotu potęgi i znaczenia Polski, radby absolutum dominium zaprowadzić! Ale nie uda mu się, bo z prochów naszych powstaną mściciele i obrońcy dawnego porządku!

— Nie gorączkuj się waszmość, nie gorączkuj! — rzekł Wojna. — Jeszcześ w proch się nie obrócił, a i do absoluti dominii także daleko. W czem je zresztą widzisz?

— A cóż innego waszmość widzisz w onym zamierzonym ożenku z siostrą nieboszczki królowej Anny Rakuszanki, Konstancją? Trzyma się domu austrjackiego, bo radby pomoc w nim przeciw swemu narodowi znaleźć. Czemuż prze do zapewnienia następstwa tronu Władysławowi, a nawet radby królewicza ukoronował za swego życia?

— Nie neguję, że Zygmunt wiele czyni, co nam niemiłe i Polsce szkodliwe, ale myślę, iż nie dąży on do absoluti dominii, lecz bardziej Szwedem jak Polakiem będąc, nie umie zżyć się z narodem. Przytem przed jego interesem stawia interes katolicyzmu. Zresztą wielu z nas pcha go do walki z nami, bo we wszystkich od początku krokach jego zmierzanie do absoluti dominii widząc, z niemądrym uporem trwa w ciągłej względem niego opozycji.

Oczy pana Lackiego błysnęły, twarz poczerwieniała gwałtownie. Wparł się pięścią w stół.

— O kim waszmość mówisz? Czy do mnie pijesz? Pomnij, że Lacki taki dobry jak i Wojna!

— O kim myślałem, tom myślał, ale znać waszmość się do winy poczuwasz, skoroś się tak rzucił.

Lacki porwał się na nogi, aż zydel na ziemię obalił i za głownię szabli chwycił, Wojna obuszek w garść ująwszy, stanął naprzeciw. Lecz pan Dąbrowa między nich skoczył.

— Pax waszmościowie, pax! Opamiętajcież się! Jutro na Szweda następim, a wy tu broń na się dobywacie, miast dla wroga ją zachować!

A oni stali z drgającemi wściekłością usty, dysząc ciężko i błyszczącemi oczyma mimo Dąbrowy się mierząc. Wreszcie pan Wojna pierwszy ochłonął i rzucając obuszek na stół, rzekł:

— Jeśli w jutrzejszej bitwie życie zachowam, nie będę waszmości okazji umykał, ale dziś je na szwank wystawić nieuczciwością wobec ojczyzny byłoby!

Pan Lacki stał dalej z obliczem krwią nabiegłem, sapiąc z alteracji, wreszcie jednak odjął dłoń od szabli i zaczerpnąwszy głęboko powietrza, zduszonym głosem wysapał:

— Niech i tak będzie!

Lecz pan Dąbrowa, acz małomówny zwykle, tym razem nie zamierzał przestać mówić.

— Zacne jest postanowienie waszmościów, ale baczcie, iż na jutrzejszej potrzebie nie koniec pewno potykań się z Sudermańczykiem, ni wogóle turbacji ojczyzny i wielką onaby szkodę poniosła, gdyby miała utracić bodaj jednego kawalera takiej fantazji, takiej experientiae w boju i w sprawach publicznych, jak imć pan Lacki czy Wojna, przez zwykłe nieporozumienie. Tedy proponuję waszmościom, byście animozję zbyteczną na szwedzkich łbach wyładowali i tu godną emulacją wykazali. No, podajcież sobie waszmoście dłonie!

Wezwani wahali się chwilę, wreszcie pan Wojna wyciągnął rękę.

— Prawdę mówi pan Dąbrowa — nie o waszmości myślałem mówiąc te słowa.

— To i waszmość wybacz mi moją prędkość, bo taki już z urodzenia jestem, choć tuszę, że nie zły! — to mówiąc pan Lacki radosny, że Wojna pierwszy się usprawiedliwiał, przyjął podaną dłoń.

Pan Dąbrowa, widząc adwersarzy pogodzonych, klasnął w dłonie i nadbiegłemu pachołkowi miód przynieść kazał.

Wysączyli kufle i przez Dąbrowę odprowadzeni przed namiot wyszli. Zapadła już chłodnawa noc, rozświetlona jedynie krwawemi ślepiami żaru przygaszonych ogni. Obóz był już uśpiony, straże jeno krążyły, mącąc ciszę miarowym swym krokiem.

Rankiem dźwięk trąbek porwał obóz na nogi. Dzień zapowiadał się słoneczny, choć nie upalny. Cisza niedawna zniknęła bez śladu. Każdy się krzątał, każdy coś ładził, ale ni znaku zamięszania, gdyż żołnierz był z życiem obozowem otrzaskany. Wnet rozszedł się dym nieconych ogni a wraz i wonie warzonej strawy. Skąpo jej było, bo król przysłanie spyży jeno obiecywał, w Inflantach zaś, ciągłemi prawie od czasów Zygmunta Augusta najazdami nieprzyjaciół i przemarszami wojsk wyniszczonych, nawet gdyby były pieniądze, sporo truduby kosztowało nagromadzenie jej. Ledwo się posilono, ordynansowy przyniósł rozkaz gromadzenia się pieszo chorągwiami na środku obozu. Gdy go wykonano, oczy wszystkich z ciekawością skierowały się ku hetmańskiemu namiotowi, czekając objaśnienia niecodziennego zdarzenia. Jakoż wnet wyszedł Jan Karol Chodkiewicz, hetman wielki litewski. Niemłody ten i wielkim u wojska mirem się cieszący wódz, wielce poważny i respekt a szacunek budzący miał wygląd. Siadł na podanego mu konia, znać by lepiej być widzianym i ku milczącym szeregom się posunął. Obrzucił je uważnem spojrzeniem, poczem jął mówić głośno i dobitnie:

— Towarzysze! Nie nawykłem mówić, bo żołnierza sprawą jest nie gardłowanie a czyn i posłuch, dziś jednak wobec extraordynaryjnych okoliczności, od zasady tej odstąpiłem. Bo inaczej okoliczności mającej nastąpić bitwy nazwać nie mogę: tu niespełna czterotysięczna garść, która nawet na obsadzenie wszystkich warowni zbyt jest mała tak, iż myślałem już popalić je, żołnierz zgłodniały, dawno niepłatny, srodze ciągłemi bojami utrudzon, tam czternastotysięczna potęga, bo nie wątpię, iż Karol małą tylko część pod Rygą ostawi dla zadzierżenia w murach załogi i całą siłą na nas nastąpi, mając ludzi świeżych i dobrze nakarmionych. Jeśli więc w tych warunkach miast ustąpić z ziemi tej, o którą tylekroć krwawili się dziadowie, ojcowie nasi i my sami z Szwedem i Moskwą walcząc, miast powtarzam, ustąpić i na Litwę się schronić, bój chcę wydać i jednem uderzeniem inimicum złamać, to winien wam jestem wytłumaczenie. Otóż głęboko wierzę, iż choć głodni i zmęczeni jesteście, każdą przeszkodę złamać potraficie, taka w was fantazja rycerska, taki amor patriae i taka experientia bojowa, których potylekroć świadkiem byłem. Na tem fundując, wszystko na jedną stawiam kartę!

Rycerstwo pilnie kochanego wodza mowy słuchające, wielce było poruszone ufnością w niem pokładaną. Jakiś towarzysz pancerny chorągwi husarskiej zakrzyknął donośnie:

— Mości hetmanie! Ilu nas jest, wiemy, ilu Szwedów, dowiemy się, gdy ich na pobojowisku policzym!

I wraz setki szabel dobytych z pochew groźnie uniosły się wgórę i powietrzem wstrząsnął zgiełkowi bitewnemu podobny hałas.

— Na Szweda! Na Szweda! Bij! Zabij!

Chodkiewicz uniesieniem ręki powstrzymał tumult.

— Rad jestem wielce ochocie waćpanów i wiera, nie przesadzę mówiąc, iż równego wojska ni Sudermańczyk ni żaden inny monarcha nie posiada, ale uważcie waszmoście, że i największa ochota nic zdziałać nie może, jeśli Bożego nie ma poparcia, przeto wzywam, byście przodków naszych obyczajem w sumienia swe wglądnęli i z Bogiem się pogodzili!

Skończył mówić i z konia zsiadłszy, do namiotu wrócił, a ludzie rozszedlszy się, w skupieniu jęli się do spowiedzi sposobić.

Dobry już dzień był, gdy namioty zwinąwszy raźno, z radosną duszą ruszono, jakby na gody jakie, nie na przemożnego wroga. Szły więc lekkie chorągwie pancerne koronne pod panem Tomaszem Dąbrową, takież przez pana Lackiego wiedzione, szły chorągwie litewskie i regimenty cudzoziemskiego autoramentu pod panem starostą Sapiehą i trzysta koni husarji imć pana Wincentego Wojny. Ta ostatnia oczy wprost rwała, cudny przedstawiając widok. Las skrzydeł orlemi i sępiemi piórami opatrzonych, las kopij z powiewającemi proporczykami, a poniżej, pod okapami hełmów po prawej stronie piórami ozdobnych, groźne, rycerskie oblicza. Blachy okrywały ramiona i piersi, z pleców zwisały niedźwiedzie, rysie a nawet lamparcie i tygrysie skóry karmazynowym adamaszkiem podbite, złotemi na lewem ramieniu szponami spięte, czerwone rajtuzy i długie łosiowe skórznie dopełniały stroju. Szabla u boku, długi koncerz pod lewem kolanem przytroczony, dwa pistolety w olstrach i obuszek do rozbijania zbroi przeciwnika wraz z kopją stanowiły uzbrojenie. Konie pod nimi mocne a dobrej krwi w bogatych rzędach buńczukami pod szyją a piórami na łbach przybranych, pod złotem tkanemi czaprakami szły dziarsko jakby świadome, iż niosą na sobie rycerzy, których królom polskim Europa cała zazdrościła. Za dwutysięczną przeszło kolumną jazdy kroczyła w tysiąc luda piechota, dalej ciury z taborem.

Niewiele jeszcze uszli, gdy z lasu pobok o kilka stajań rosnącego wynurzył się tęgim kłusem idący oddział jezdnych. Ciemny ich strój cudzoziemski, wielkie kapelu-

sze z piórami, płaszcze obfite z ramion zwisające, długie za kolana buty i szpady u boku, do Szwedów podobnymi ich czyniły. wraz więc kolumna zatrzymała się i nie wiedząc czy z lasu co więcej się nie wynurzy, w szyku obronnym poczęła się ustawiać, a jedna z chorągwi pana Sapiehowych ku nim skoczyła, by w miejscu ich osadzić, lecz widząc, że broni nie dobywają, lecz przeciwnie kapeluszami po przyjaźni powiewają, wstrzymała się, zbliżenia ich oczekując. Wnet się okazało, iż to młody książę Kettler od ojca, księcia Kurlandji i Semigalji w trzystu rajtarów wysłany, Polakom w sukurs przybywa. Radość w wojsku zapanowała wielka, dobry bowiem omen widziano w tem, iż wierny lennik Rzeczypospolitej, choć słabość sił Chodkiewiczowych znający, pod swoim synem należne posiłki przysyła. Ruszono społem dalej w dobrym nastroju. Marsz trwał póki przednie straże znać nie dały, iż Szweda już widzą. Jakoż dotarłszy do kotliny dość rozległą równiną będącej, na stokach wzgórz przeciwległych tym, na których szczycie Polacy stali, ujrzano ciągnące szeregi szwedzkie. Szły piesze kolumny jedna za drugą coraz nowe, szły rajtarskie roty za rotami, czerniąc się długim wężem na zieleni zbocza. Ale znać i oni już Polaków dostrzegli, gdyż zatrzymali się w pochodzie i składnie, choć powoli, jakby z lekceważeniem dla szczupłego oddziału przeciwnika, jęli szyk rozwijać. Na skrzydłach stanęła rajtarja, w środku pieszy muszkietnicy, główną wojsk Karolowych stanowiący siłę. Pan Chodkiewicz bacznem okiem zlustrowawszy liczbę wroga, pozycję i okolicę, wezwał przed się komendantów.

— Stało się, jak myślałem. Karol całą siłą na nas nastąpił i z królewskiej chorągwi widnej wśród muszkietników wnosząc, osobiście środkiem przewodzi wraz z Lindersonem zapewne, komendę nad skrzydłami jenerałowi Mansfeldowi i Henrykowi Brandowi zdawszy. Przy wielkiej różnicy sił w długie boje wdawać się nie możemy i całą nadzieję w pierwszem natarciu położyć musimy. Taki jest mój plan, który musicie waszmościowie ściśle wykonać: wyślemy harcowników, którzy udaną ucieczką spróbują Karola ze zbocza na równię sprowadzić. Że się to uda, prawie pewny jestem, boć Karol nietęgim a wielce popędliwym jest wodzem i dobrych rad innych nie słucha. Gdy fortel się uda, waszmość panie Wojna przez księcia Kettlera wspomagany, z husarją w sam środek uderzysz i przełamać się pokusisz. Wraz też pan Dąbrowa na prawe i pan Sapieha na lewe skrzydło nastąpią. Piechota i pan Lacki w dwieście koni pancernych w odwodzie ostanie...

Jakoż i pacierz nie minął, a chorągwie pana Tomasza Dąbrowy na lewem, pana starosty uświatskiego na prawem skrzydle sprawnie stanęły, środek zajął pan Wojna z husarją i Kurlandczyki, w odwodzie został gryząc wąsa ze złości i żalu pan Lacki oraz piechotni. Zaraz też z lekkich chorągwi sypnęło się na równinę kilkudziesięciu towarzystwa na harce, co widząc i Szwed swoich rajtarów posłał. Starli się z sobą, walcząc pojedynczo lub grupami. Konie ze stulonemi uszyma kręciły się dookoła siebie młyńcem na zadach przysiadając, krzywe szable wiązały się ze szczękiem z długiemi rapierami i coraz cięcie czy pchnięcie strącało z siodła jeźdźca w ciemnym mundurze lub barwnym kontuszu. Gęściej padali jednak Szwedzi, gdyż brak im było tej umiejętności walki wręcz, w której celowała szlachta polska i czasu pokoju z szablą się nie rozstając. Ale rajtarów coraz więcej przybywało, co polscy harcownicy do wykonania zleconego zadania wykorzystali i niby przed przemocą ustępując, najpierw pojedynczo, potem grupkami, a wreszcie nieskładną gromadą do ucieczki się rzucili, pociągając upojonych wstępnym sukcesem Szwedów do pościgu. Znać i sam Karol wziął ową ucieczkę za dobry omen i sądząc, iż tylekroć szczuplejsze hetmańskie wojsko z miejsca pogromi, posunął spiesznie swe szyki do przodu. Na to tylko czyhał Chodkiewicz i ledwo Szwedzi na równinę zstąpili, z ogniem w oczach zwrócił się do pana Wojny:

— Prowadź waszmość w Imię Boże!

Ten opuścił szablę na rzemyk i wzniósłszy buzdygan w górę, chciał coś krzyknąć, ale znać wzruszenie mowę mu odjęło, bo tylko buzdyganem wroga wskazał i wraz pochyliły się kopje w pół ucha końskiego, pochylili rycerze w kulbakach i husarja ruszyła krokiem, potem kłusa, by wreszcie z grzmotem kopyt, szumem proporczyków i skrzydeł jak tatrzańska, niczem niepowstrzymana, śmierć i zagładę niosąca lawina, runąć ze zbocza co koń wyskoczy. Już i Kurlandczyk porwał swych rajtarów ciemnym ptakom podobnych przez rozwiane płaszcze i długie rapiery nakształt dziobów sterczące z nad końskich łbów, i za husarją gnał. Ta w szaleńczym pędzie przebiegła obok na boki uskakujących polskich harcowników i na zaskoczonych szwedzkich wpadłszy prędzej niż powieka mrugnąć może, w przelocie ich rozniosła i rwała ku środkowi Karolowych wojsk. Pan Lacki w górze stojący przepomniał żalu i złości, jeno oddech wstrzymując zachwyconem okiem wpijał się w błyszczącą w słońcu blachami, mieniącą się barwami skór zwierzęcych, piórami kołyszącą, piękną a straszliwą ławę jezdnych, która przestrzeń jakby połykając parła ku ciemnej ścianie szwedzkiej. Nim ta, w pochodzie raptownie wstrzymana, mogła należycie się ustawić, husarja była tuż. Szeregi muszkietników zakwitły ogniem i dymem, kilka koni w szalonym pędzie runęło, kilku jezdnych z siodeł wyleciało, lecz nim powtórnie muszkiety nabić zdołano, w Szwedów jakby piorun uderzył. Pan Lacki ujrzał, jak pod straszliwem natarciem środek cielska wojsk Karolowych zakołebał się, wgiął w głąb i nagle jakby na dwoje rozpękł, a w szczelinę wdarła się husarja, drążąc coraz głębiej i głębiej. Już i Kurlandczyk uderzył, dopełniając wśród pomieszanych i trwogą ogarniętych dzieła zniszczenia. A tamci ciągle szli naprzód niewstrzymanie, rozcinając jak galeona fale morskie coraz nowe szeregi, obalając ludzi, tratując, kłując i siekąc. Ci z husarzy, którym w pierwszem natarciu drzewca kopij popryskały, ciężki koncerz zpod kolana wyszarpnąwszy, istne siali spustoszenie, lub obuszka, jako w tłoku wielce sposobnego się imali. I tak druzgocąc wszystko, co na drodze stało, przeszli nawylot i łuk zatoczywszy raz drugi od tyłu uderzyli, a wsparci przez Kettlerowych ludzi, zepchnęli muszkietników na prawe skrzydło, stłoczyli, zmięszali z rajtarją tam stojącą, nie dając przeciwnikowi oddechu złapać, ni do jakiego opamiętania przyjść. Nie zdołał już jenerał Mansfeld i książę lüneburski do ładu swych rajtarów przywieść, bo od czoła pan Dąbrowa na czele pierwszej chorągwi jak wilk do gardła im skoczył, za pierwszą, druga, trzecia i dalsze chorągwie z impetem w wir walki wpadały, mięszając, rozrywając szeregi, jedne na drugie spychając, ludzi i konie z nóg waląc. A już i Brand na lewem skrzydle pełne miał ręce roboty, bo pan Sapieha nań tęgo następował.

Nad równiną zgrzytliwy szczęk oręża, chrapliwe głosy walczących, przeraźliwy kwik rozszalałych koni, huk pojedynczych strzałów zmięszał się w jeden potworny zgiełk, jakże miły uszom patrzącego na zamęt bitewny pana Lackiego. Nie dziwne więc, iż miejsca sobie znaleźć nie mógł, koniem to tu, to tam posuwał, to wąsa szarpał, to kołnierz poprawiał, który dla zbytniej emocji cisnąć mu się zdawał. Wreszcie nie wytrzymał i do hetmana dopadł.

— Nie zdzierżę dłużej! Niechże i ja już skoczę!

— Na miejsce waszmość, na miejsce!

Groźnem spojrzeniem hetmańskiem skonfundowany uspokoił się trochę i do swych ludzi wrócił, chciwem okiem patrząc na pole bitwy. A tam z muszkietników i doborowej rajtarji Mansfelda jeno zbita, stłoczona masa została, że i nie domyśliłbyś się w niej tych, w tak pięknym przed chwilą stojących ordynku wojsk. Ze wszech stron naciskani, szarpani, rozbijani, z miejsca na miejsce się przewalali, w straszliwem przerażeniu i rozpaczy broniąc się ostatkiem sił. Jeden tylko Brand ze swymi rajtarami wytrzymawszy znać zbyt słabe pierwsze natarcie pana Sapiehy, w należnym porządku trwając, ścinał się z nim silnie, by przebiwszy się ku tamtym przymknąć. Ale pan Sapieha, choć go złamać nie zdołał, to jednak i siebie złamać nie pozwolił i zaciekły bój trwał, nie dając żadnej ze stron przewagi. Widział to hetman i pojął, iż ostatni to czas staroście sukurs dać, bo jako liczebnie słabszy, pierwszy oddech począłby tracić, zwrócił się więc do pana Lackiego.

— Skocz waszmość wesprzeć pana Sapiehę!

Pan Lacki jak rapjerem pchnięty uniósł się w strzemionach i cisnął o ziem kołpakiem, poczem szabli dobywszy, ryknął:

— Za mną! Bij! Zabij!

— Bij! Zabij! — powtórzyło dwieście głosów i wnet konie położywszy uszy, wyciągnąwszy szyje, ziemi jakby nie dotykając, rwały na równinę, niosąc na sobie oczekiwaniem rozżarłych do ostateczności pancernych. Pan Lacki z gołą głową pędząc krwią nabiegłemi oczyma nic nie widział, prócz coraz to bliższej, splątanej, to wprzód, to wtył się wahającej kilkutysięcznej omal gromady jezdnych. Tuż przed sobą już widział zady sapieżyńskich koni, gdy Litwa pomoc nadchodzącą słysząc, rozstąpiła się znagła i pan Lacki ujrzał mur łbów i piersi końskich i pobladłych lub poczerwieniałych z utrudzenia twarzy ludzkich. poderwał więc konia i ciął straszliwie zgóry w zbity gąszcz całą siłą ramienia, z której aż w dalekiej Wenecji słynął. Obalając swym impetem ludzi i konie darł się wgłąb, siekąc na prawo i lewo bez opamiętania, nie czując nawet dwóch kul w udzie utkwionych. Ale już i jego ludzie runęli na rajtarów i zmęczonych wytrzymanem natarciem pana Sapiehy i późniejszą walką rozerwali, zmięszali, skłębili i nim ci jakiś opór dać mogli, dotarli do samego środka. Tu Branda, zachęcającego do walki rajtarów, jakiś towarzysz pancerny dopadł i rapjer z rąk mu wytrąciwszy, drugą ręką za kark ułapił i z siodła wyszarpnąwszy, przed siebie na grzbiet koński rzucił. Skoczyli Szwedzi wodza odbić, lecz odparci, gdy i pana Sapiehy wzmożony nacisk poczuli, do ucieczki się rzucili. I oto niedawno tak świetna rajtarja jęła skrajnem przerażeniem ogarnięta wkoło po równinie pędzić, wzajem sobie przeszkadzając, by wreszcie się rzucić ku stronie, gdzie morza i zbawczych okrętów się spodziewali, na karku triumfem upojonych zwycięzców mając. Ścigający i ścigani w długiego węża się wyciągnąwszy, tak się pomieszali, iż niejednokrotnie Polak Szwedami otoczony gnał i z trwogi słabo się broniących, z siodeł zrzucał ile dusza zapragnęła, póki ręka z trudu mu nie omdlała. Wreszcie lasy okoliczne skryły jednych i drugich. Dzień 27 września 1605 roku dobrze się już miał ku schyłkowi, gdy wszyscy powrócili i wtedy hetman zgromadziwszy ich, mówić począł:

— Po raz wtóry dziś już do waszmościów mówię, a to, by podziękę za tak godnie wypełniony obowiązek żołnierski wam złożyć. I za radość, jakiej żadnemu chyba wodzowi wojsko jego nie sprawiło, też wam dziękuję. Bo zważcie, czyż rzecz to do wiary podobna, by trzy tysiące jazdy taką klęskę czternastotysięcznemu przedniemu żołnierzowi zadało? Inaczej jak klęską nazwać nie mogę, bo i jednej nie było roty, któraby zdziesiątkowana do sromotnej ucieczki tyłu nie podała. Oto skutki nieporównanej fantazji rycerskiej waszmościów, skutki jednego tylko natarcia. Ryga ocalona, Inflanty od wroga wolne! Ma wam za co Ojczyzna dziękować, mam i ja! A teraz Bogu, z którego łaski i pomocy broń nasza chwałą dzisiaj się okryła, należne dzięki złóżmy!

WYPOCZYNEK PO BALU

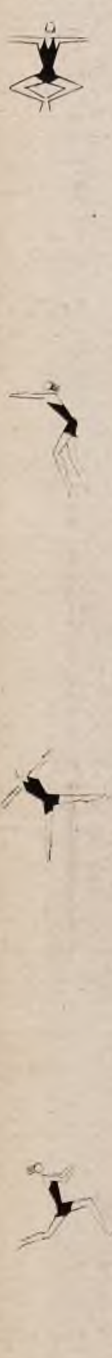
artystka Eleanor Whitney.





CHCIAŁAM BYĆ PIĘKNĄ...

Dotychczas dawaliśmy naszym Czytelniczkom praktyczne rady kosmetyczne, których skuteczność napewno nie pozostawia nic do życzenia. Tym razem, dla odmiany, zamieszczamy wesoły artykuł na ten temat, chłoszczący dziedzinę kosmetyki złośliwą satyrą.



Wiemy wszyscy — choćby dlatego, że czytamy o tem codzień w pismach, reklamach i „naukowych" broszurach— że nowoczesna kosmetyka odgrywa dziś w cywilizowanym świecie ogromną rolę. W mojem skromnem życiu odegrała rolę tak doniosłą i wręcz przełomową, że postanowiłam się zwierzyć z mych przeżyć na tem polu Czytelnikom „Asa".

Byłam sobie młodą i przeciętnie przystojną kobietą, bez wygórowanych aspiracyj na „bóstwo" lub „vampa" w ultra-nowoczesnym formacie. Z dziecinnego pokoju wyniosłam nieco przestarzałe, „przedwojennemi" dziś zwane, zasady życiowe, streszczające się plus minus w tem, że walory umysłowe i etyczne są ważniejsze od czysto fizycznych, i że — aby konserwować te ostatnie — wystarczy estetyczny, lecz skromny strój, dużo wody i mydła, zdrowie, ruch, no i — dlaczegóżby nie? — trochę dobrego pudru i perfum.

Przez długie lata wystarczało mi to. Czas swój dzieliłam między zajęcia domowe, umiarkowane życie towarzyskie, sporty i zainteresowania kulturalne, dotyczące głównie literatury, której poświęciłam swe studja uniwersyteckie.

Pewnego dnia przyjechała do mnie moja dawna przyjaciółka z czasów uniwersyteckich, mieszkająca od lat w stolicy. Wydała mi się bardzo ładna i jakaś młodsza odemnie, mimo, że byłyśmy zupełnie w równym wieku. Gdy spojrzałam w lustro przez jej ramię i porównałam nasze odbicia, własny mój obraz wydał mi się nieco „przypełznięty" i zgaszony. Fela — bo tak jej było na imię — miała śliczne, równiutkie łuki ciemnych brwi, koralowe usta i cerę olśniewającą, włosy jej zaś mieniły się ciepłymi refleksami miedzi, przy których moja własna, popielato-blond czupryna wydawała się dziwnie szara i matowa.

— Ślicznie wyglądasz! — wyszeptałam z podziwem, ale bez zawiści.

— Mój Boże! Staram się o to. Patrząc na ciebie, nie mogę zrozumieć, że są jeszcze kobiety, które tak lekkomyślnie zdają się wyłącznie na matkę-naturę i rezygnują z tak wspaniałej pomocy, jaką niesie kobiecie nowoczesna kosmetyka!

Fela wydobyła z neseseru jakąś pomiętą broszurę i wskazała mi manikurowanym paluszkiem jej tytuł: „Dziesięć minut rano i tyleż wieczorem — najnowsza metoda pielęgnowania młodości i urody", opracował dr. Esteciński dla kobiet pracujących.

Poczułam pokusę, perfidnie wyzierającą ze słów tego obiecującego tytułu. Dziesięć minut!

Ale demon próżności przemawiał dalej, karminowanemi ustami Feli:

— Jesteś bardzo ładna, ale brak ci blasku i — nie gniewaj się — nowoczesnego stylu. Wyglądasz trochę jak portret przystojnej babki z zeszłego stulecia. Odrobinę henny i trwała ondulacja pozwoliłyby ci na uwydatnienie piękności twych włosów, trochę masażu i odpowiednie „traitement" wraz z umiejętnym maquillage'em ożywi koloryt twej twarzy. Radzę ci — spróbuj!

I spróbowałam. Nie było to wcale takie łatwe, ani bezbolesne, jak się spodziewałam. Musiałam zacisnąć zęby i udawać, że nie widzę drwiących i pełnych politowania uśmieszków biało ubranych asystentek Mme Florelle, do której renomowanego salonu udałam się po pierwszą pomoc. Musiałam wytrzymać bezwzględne i energiczne „traitement", polegające na klepaniu, szczypaniu, nacieraniu, zmywaniu, naparzaniu, oziębianiu, kłóciu, skubaniu i opukiwaniu mego oblicza. Wytrzymałam stałą ondulację, parafinowe kąpiele, masaże, galwanizacje, faradyzacje, fale X Y i Z. No cóż? chciałam być piękną!

Ale gdy się raz zacznie, trzeba być konsekwentnym. Do „olśniewającej cery" musi się mieć „olśniewające zęby", pełne blasku oczy, lśniące i faliste włosy, strzelistą i smukłą postać, elastyczne ruchy, cudownie zaokrąglone ramiona, dekolt bez skazy, smukłe biodra, płaski brzuch, nieskazitelne plecy — i całą resztę.

Zaczęłam czytywać fachową literaturę, artykuły w kobiecych pismach, „kąciki" w różnych „Powojach", „Waszych Przyjaciółkach", „Wszystko robię sama" itp. poważnych perjodykach. Jedna broszura radziła kąpać się w otrębach, druga stanowczo zalecała uproszczoną metodę rozpuszczania w wodzie do kąpieli syntetycznych hormonów życia i piękna, które nabyć można było w każdej drogerji po 45 gr. za sztukę. Ciocia Hela radziła swym czytelniczkom używać po kąpieli punkt-rollera, pani Mary namawiała do flagellantyzmu, polegającego na biciu całego ciała „dłonią napłask, elastycznymi a energicznymi rzutami". Instytut „Szczyt piękności" kazał swym klientkom kłaść się co rano na twardej desce i obkładać brzuch grubymi tomami encyklopedji Orgelbranda (w braku jej można i Britannica), dodając codzień po jednym tomie. Podobno najbardziej uporczywe wypadki otłuszczenia brzucha ustępowały w krótkim czasie „czarownej i młodzieńczej smukłości figury".

W pewnej „naukowej", podpisanej przez doktora medycyny broszurze wyczytałam, że niema jak „natrzepywanie rozluźnionemi w stawie nagarstkowemi rękami całego ciała w kierunku dośrodkowym" (autentyczne). Długo zastanawiałam się, co uczynić, aby ręce moje, jedyne, jakie mam do dyspozycji, stały się „nadgarstkowemi". Nikt mi tego nie umiał wytłumaczyć. W innem dziele zapoznałam się z zasadami kosmetycznej djetetyki, w myśl których zaczęłam żywić się jak Robinson korzonkami i ziołami, popijając je suto mdłym sokiem z marchwi lub pomidorów. Pewna doświadczona przyjaciółka radziła mi przemywać codzień oczy herbatką z suszonych bławatków, inna przysięgała, że tylko cudowna „Lotion" pewnej zagranicznej firmy nada im potrzebny blask i fascynujący urok.

Ledwo zaczęłam obkładać twarz rozgniatanemi poziomkami, przeczytałam w gazecie, że nic tak nie udelikatnia cery jak połcie świeżej wołowiny, stosowane jako maska piękności. Od mycia rąk w soku cytrynowym musiałam się przerzucić na ogórkowy, łokcie moczyłam w migdałowym olejku, czoło zmywałam hamamelisem, powieki natłuszczałam oliwą, paznokcie nacierałam cytryną, szyję obkładałam „przemiennymi kompresami" i zmywałam mlekiem, smarowałam się żółtkiem, a gotowalnia moja zaczęła przypominać dobrze zaopatrzoną spiżarnię i drogerję zarazem.

A rezultat?

Po mojem spokojnem, uregulowanem życiu przeszedł istny tajfun. Jestem dziś jedną z najbardziej zajętych kobiet w naszem mieście. Nie wysypiam się, aby podołać programowi dnia, przestałam też z braku czasu używać sportów i musiałam do minimum ograniczyć spacery. Ja, która tak lubiłam czytać, teraz z jednym tomem poram się kilka tygodni. W nawale zajęć musiałam rozluźnić większość mych towarzyskich stosunków, a szereg przyjaciół obraziło się na mnie, nie mogąc doczekać się mych odwiedzin. Pomału przestano mnie zapraszać, tak, że właściwie nie mam komu pokazywać cudownych skutków moich kosmetycznych zabiegów. Tualety moje zresztą pozostawiają wiele do życzenia, wydając bowiem poważne kwoty na pielęgnowanie mej osoby, nie jestem w stanie sprawiać sobie nowych ... kien. Mąż mój, odkąd co wieczór zastawał mnie nasmarowaną jajkiem, gniecionemi poziomkami lub obłożoną krwawymi befsztykami, naprożno stara się ukryć, że budzę w nim wstręt. Często wychodzi wieczorami sam, a i jadać zaczyna nałogowo poza domem, nie mogąc pogodzić się z naszą najnowocześniejszą, witaminowo - hormonową djetetyczną kuchnią.

Nie mogę oczywiście mu towarzyszyć, gdyż nigdy nie mam czasu. Bo jak wygląda mój dzień?!: budzę się o 7-ej, gimnastyka, masaż, kąpiel, nacierania i „natrzepywania" zajmują mi wraz z maquillage'em czas do 10-ej. Potem przychodzi manikurzystka na zmianę z pedikurzystką. Od 12—2 poddaję się w instytucie piękności galwanizacji, faradyzacji, jonizacji, elektryzacji lub djatermji. Po obiedzie idę do fryzjera. Gimnastyka rytmiczna zajmuje mi popołudnie, potem w myśl wskazań Mme Florelle leżę godzinę w ciemnym pokoju z maską piękności i oczyma przewiązanemi czarną aksamitką (stąd aksamitne spojrzenie!). Po kolacji i krótkim odpoczynku, zacząć muszę niezbędne zabiegi wieczorne, wśród których samo szczotkowanie włosów „pasmami we wszystkich kierunkach" zajmuje mi pół godziny, a moczenie nóg, łokci i palców w wodzie różanej drugie tyle. Koło północy znużona śmiertelnie usypiam twardo, pomimo, że włosy pozwijane na metalowych rulonikach ugniatają mnie nieznośnie, a obcisłe gumowe rękawiczki też dają się we znaki.

Cóż robić? Stałam się nowoczesną kobietą, która rozumie dobrze, że „il faut souffrir pour être belle". Ale czy jestem piękniejsza? To pytanie stało się dla mnie hampletowskiem „być, albo nie być". Nie mam jednak na szczęście czasu, aby się nad tem zastanawiać, zresztą myślenie i troski powodują zmarszczki i przedwczesne starzenie się.

Wolę więc nie myśleć... **Jolly Jocker.**



Suknia wizytowa z bolerkiem

Ten piękny wizytowy komplet wykonujemy z dwu gatunków wełny. Jedną z nich jest cienka wełna „bouclé" w dowolnym kolorze, drugą wełna shetlandzka, albo włoska w harmonizującym z poprzednią jasnym pastelowym kolorze. Na modelu użyto na sukni wełny ciemno-zielonej, na pasy i bolerko wełny pomarańczowej. Z innych zestawień możemy polecić kolor ciemno-śliwkowy z ostro różowym, kolor brązowy z żółtym, lub zielonawym, względnie kolor kasztanowato-rdzawy z subtelnym lawendowo-niebieskim.

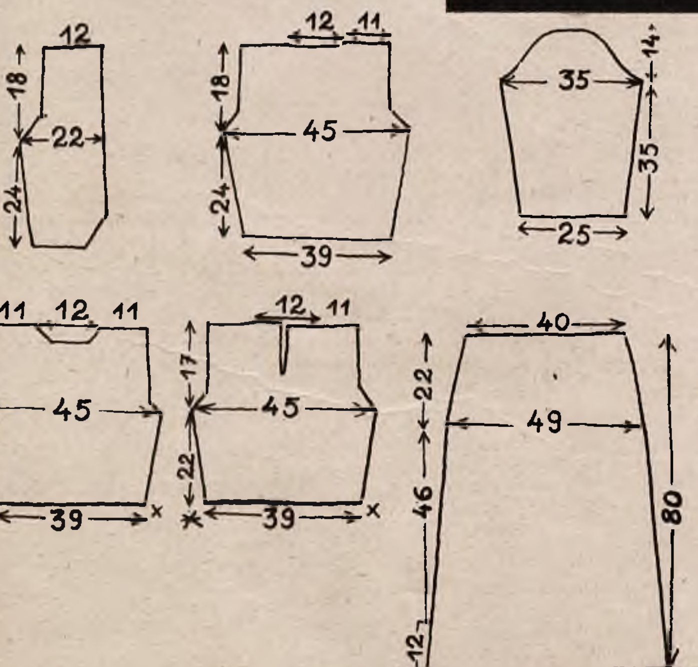
Suknię wykonujemy z wełny bouclé na drutach nr. 2,5, według schematu kroju przerabiając ściegiem jersey (rzędy po prawej stronie wprost, po lewej na wywrót). Każdą część spódnicy zaczynamy od dolnego prawego rogu i przerabiamy po jednem oczku na początku każdego rzędu aż do osiągnięcia pełnej szerokości dolnego brzegu danej części. Teraz przestajemy dodawać na brzegu przeciwległym a natomiast zaczynamy ujmować po jednem oczku na początku każdego rzędu na tym brzegu. Formę zaznaczoną na kroju nadajemy w ten sposób, że co ośm rzędów bądź nie dodajemy jednego oczka z prawego brzegu tej części, bądź też ujmujemy naraz dwa oczka z przeciwległego brzegu. Pasy wrabiamy w ten sposób, że poczynając od początku roboty przerabiamy co 10 cm. jeden rząd włóczką w kolorze bolerka. Poczynając od wysokości pasa t.zn., gdy prawy brzeg roboty dojdzie do tej wysokości, zaczynamy formowanie stanika nadając mu formę w ten sposób, że na prawym brzegu roboty co 6 rzędów dodajemy po dwa nowe oczka, a na lewym brzegu roboty w co szóstym rzędzie nie ujmujemy jednego oczka. Na wycięcia na rękaw na prawym brzegu roboty ujmujemy po jednem oczku w każdym rzędzie, natomiast na lewym brzegu roboty, gdy wysokość roboty dojdzie do punktu oznaczonego gwiazdką, dzielimy robotę w tem miejscu i przerabiamy dalej tylko od tego miejsca do lewego brzegu roboty, zakończając po jednem oczku na początku każdego rzędu od strony gwiazdki. Skos w dalszym ciągu wycięcia nadajemy dla prawej pachy, przerabiając odpowiednią ilość rzędów bez dodawania nowych oczek na początku, a dla lewej w ten sposób, że po dojściu całej roboty do wysokości oznaczonej X zakończamy wszystkie oczka od miejsca oznaczonego X do lewego brzegu roboty. Dalej przerabiamy równo a więc (dodając stale na jednym a ujmując na drugim brzegu roboty). Na wycięcie przy szyi dzielimy robotę w środku i wykonujemy proste i skośne brzegi wycięcia w sposób opisany dla wycięcia na rękaw, uważamy przy tem, że skosy wycięcia biegną teraz w odwrotnym kierunku jak poprzednio, a więc musimy je wykonać tak samo odwrotnie, t. j. prawy skos wycięcia tak jak lewą pachę a lewy skos tak jak prawy. W plecach wykonujemy rozcięcie na zapięcie dzieląc robotę w środku i nadając kształt brzegom rozcięcia tak, jak nadajemy kształt brzegom roboty powyżej pachy.

Krótkie rękawki zaczynamy od dołu i wykonujemy zwykłym jersey nie wrabiając skośnych pasów jasnych. Wszystkie gotowe części rozpinamy na stole nadając im właściwy kształt, poczem prasujemy je przez wilgotne płótno, jest to koniecznem z uwagi na skośny kierunek roboty. Po zeszyciu wszystkich części, dorabiamy do wycięcia przy szyi ściągaczkę pojedynczą na wysokość trzech cm, poczem wywijamy ją i przyszywamy na wysokość wycięcia. Brzegi roz-

(Dokończenie na str. 31-ej).



Powyżej: Suknia wizytowa z bolerkiem, zrobiona na drutach, przedstawia się zarówno praktycznie jak elegancko.



Na lewo: Schemat kroju sukni wizytowej.



Strój ślubny! Ileż to błogich nadziei, ile prognoz w związku z przyszłym losem oblubienicy łączono dawniej z tą szatą, którą przywdziewała oblubienica w decydującym dla niej dniu! Lecz tak wygląd panny młodej, jak i połączone z przygotowaniami weselnemi obyczaje, zabawy i radości, a wreszcie przesądy uległy w dobie powojennej znacznej zmianie. Za żadne skarby nie ubrałaby matka dzisiejszej panny młodej pereł do swojej ślubnej sukni! Wszak perły to łzy, a w dniu tak radosnym, jak ślub, w dniu zawarcia dozgonnego związku z ukochanym, należało unikać wszystkiego, co mogłoby rzucić bodaj cień smutku na dni przyszłe.

Nie wyobrażano sobie przed wojną innego stroju dla panny młodej, jak tylko ślubnej szaty, przystrojonej welonem, nieodłącznym kwiatem pomarańczowym, mirtem itd. Te rekwizyty tualety wyobrażały niewinność, radosną biel, na którą nie mogła paść najmniejsza smuga szarej codzienności. Suknia musiała być skromna, bez dekoltażu, z rękawami, bo i tego wymagała tradycja chwili.

Podczas wojny stały się „modne" śluby w kostjumach, w szatach może nieco strojniejszych i bardziej uroczystych od sukni codziennej. Rozgrywające się wypadki wymagały pośpiechu, szybkiej decyzji, uniemożliwiając dawne przygotowania, długotrwałe i nużące a jednak jakże miłe: wyroby materjałów

STROJE ŚLUBNE





Na prawo: Na uroczystych wieczornych ślubach panowie z orszaku weselnego noszą fraki, panie zaś wielkie tualety wieczorowe w jasnych kolorach. Rys. C. P., Londyn.

Na lewo: Matka pana młodego lub panny młodej może na uroczystość ślubną włożyć suknię w kolorze „prune", ozdobioną dyskretnym haftem złotym, siostra zaś pana młodego oryginalnie drapowaną suknię z matowego jedwabiu w kolorze błękitnym. Rys. C. P., Londyn.

na suknię ślubną narzeczonej, na szatę weselną matki, sióstr panny młodej i druhen. Przyśpieszona ceremonja nie pozwalała na rozkoszny zamęt w domu, na długie konferencje z krawcową co do każdego szczegółu koronki, haftu, ozdób itp. Wiedziano, że nadchodzą nowe czasy, że narazie przynajmniej skończyła się epoka, w której matka przechowywała swoją suknię ślubną z myślą wzruszającą, że kto wie... może przyda się jeszcze jej córce.

Obecnie, wraz z ustaleniem się warunków egzystencji, wraz z nawrotem do dawnych wzorów mody, przypominającej „dawne dobre czasy" także suknia ślubna staje się na nowo uroczystą szatą, którą panna młoda przygotowuje z pieczołowitością, w której stara się wywrzeć na przyszłym mężu niezapomniane wrażenie, którą przywdziewa tylko raz, a jednak nie szczędzi wysiłków, aby strój ten przedstawiał się jak najwspanialej. To też obecnie obowiązuje pannę młodą ślubna suknia w fasonie balowym, biała, strojna, ukwiecona, przybrana sutym welonem, a skromna jak dawniej. Dekoltaż mały, ramiona osłonięte sutemi rękawami, styl przypominający spokojny, dostatni przełom stulecia. Może nawet przybranie głowy jest sutsze i strojniejsze, a oblicze podniecone ważnością chwili jeszcze dokładniej osłonięte tiulową zasłoną welonu.

Do ważności uroczystej chwili dostosowuje się także wyglądem najbliższe otoczenie oblubienicy. Matka panny młodej występuje w okazałej tualecie wieczorowej, przyznając się bez skrupułów i fałszywego wstydu do wieku i roli, co zaznacza dobraniem barwy jedwabiu lub aksamitu. Najelegantsze dla matek są tualety w kolorze „prune", biskupim, liljowym lub fjołkowym. Tualetę uzupełnia cape lub krótka narzuta z puszystego futra.

Druhny, przyjaciółki i zaproszone damy dostrajają się również do poziomu uroczystości, przywdziewając tualety balowe. Należy pamiętać o tem, że obrzęd weselny, to święto szczęścia i radości, a jakżeż weselić się w tualetach, nie odpowiadających charakterowi uroczystości! Nawet najmłodsze rodzeństwo panny młodej i pana młodego, mali kuzynowie i kuzynki, spełniający często rolę paziów, z uzasadnioną dumą niosących tren panny młodej, muszą imitować strojem dorosłych. Moda wymaga nawet od dzieci, uczestniczących w uroczystości weselnej, aby suknie i ubranka były długie, strojne, suto ozdobione kwiatami, kokardami itd.

Tak estetycznie sharmonizowany wygląd orszaku ślubnego, bukiet barwnych tualet pań, efektownie odbijających od nieposzlakowanej bieli ślubnego stroju oblubienicy i czarnych fraków panów, będzie wytwornym i istotnym obrazem uroczystości, która stanowi przełomową chwilę w życiu dwojga kochających się istot. Pamiętajmy o tem, że formy zewnętrzne, nawet codziennie, są emanacją treści, a cóż dopiero podczas uroczystości zaślubin, która powinna upamiętnić się w sercach zainteresowanych na całe życie!

Mab.



Na lewo: Tualeta ślubna powinna odznaczać się prostotą linji i przybrania. Ładnie wypada połączenie matowego jedwabiu z koronką. Drużki noszą sukienki z haftowanego pajetami niebieskiego tiulu. Rys. Ewa Leo.





Powyżej: Do sukni ślubnej z białej koronki nadaje się welon przybrany koronkami upiętemi nad czołem w kształcie djademu.

Na lewo: Młoda jeszcze matka panny młodej włoży suknię z matowej krepy w modnym odcieniu „cyclamen" lub „violette de Parme", przybraną pięknym haftem. Właściwem okryciem będzie pelerynka z nurków.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA „TORTUE". Nie bedzie to prawdziwa zupa żółwiowa, lecz smakiem do niej zbliżona, a sporządza się ją z główki cielęcej, lecz bez móżdżku. Główkę taką wraz z ozorkiem przystawia się do gotowania z dodatkiem jarzyn i kilku pieczarek. Miękkie mięso obiera się po ugotowaniu z kości i kraje drobno wraz z ozorkiem, obciągniętym z błonki, dodaje odcedzony rosół, pokrajane pieczarki i kieliszek madery, podprawia zasmażką z łyżki masła i mąki ziemniaczanej, zagotowuje i wydaje. Osobno podaje się grzanki z krążków bułki lub groszek ptysiowy.

SPORZĄDZANIE AUSZPIKU DO UBIERANIA PÓŁMISKÓW. W czasie karnawału przyjęcia stawiają często panią domu wobec różnych kwestyj kulinarnych. Jedną z nich jest sposób przybierania półmisków, aby to było i ładnie i nie drogo, tj. aby koszt przybrania nie przenosił wartości dania, jak to czasem bywa, podajemy wypróbowany przepis na auszpik, jako garnitur zimnych dań czy to rybnych czy mięsnych. Różnokolorowy auszpik jest bardzo efektowny, ale sporządzenie wydaje się paniom domu niezmiernie uciążliwem. Posługują się więc żelatyną, która potem zostaje na półmisku, gdyż nikt tego nie jada. Auszpik sporządzony według naszego przepisu będzie nietylko odpowiadał swemu zadaniu przystrojenia półmiska, ale jest pozatem smaczny i łatwo strawny i spożywany być może nawet przez osoby o bardzo wrażliwych żołądkach.

Przepis musi być bardzo dokładnie wykonany, a trzymanie się kolejności prac jest konieczne.

4 nóżki cielęce parzy się wrzątkiem kilka razy, oskrobuje dokładnie, wymywa pod wodą bieżącą, rąbie na kawałki, dodaje włoszczyzny jak do rosołu oraz listek bobkowy i pare ziarn pieprzu angielskiego i czarnego, soli łyżeczkę, kawałek cebuli i ząbek czosnku. Wszystko nalewa się zimną wodą „do przykrycia", nakrywa szczelnie i stawia do gotowania. Gotować należy powoli, tj. tak, aby nie kipiało, około 2 godziny. Kiedy mięso i jarzyny są już zupełnie miękkie, odcedza się czysty rosół (którego powinno zostać nie więcej, jak litr), przestudza i zdejmuje z niego dokładnie tłuszcz, poczem stawia się rosół ponownie na ogniu, wlewa do niego szklaneczkę wina, wciska sok z całej cytryny, dodaje szczyptę cukru i kontroluje, czy dość słony. Wkońcu celem „sklarowania" wlewa się dwa białka rozkłócone w troszce zimnej wody, miesza dokładnie z rosołem, zagotowuje, a kiedy się białka całkiem zetną, wylewa się płyn na rozpostartą nad miską serwetę. W przecedzonym, zupełnie sklarowanym rosole rozpuszcza się dwie płytki żelatyny. Ponieważ żelatynę rozpuścić można tylko w gorącym płynie, należy odlać trochę rosołu, podgrzać silnie i włożyć wypłukaną w zimnej wodzie żelatynę, której nie należy nigdy gotować, gdyż nabiera przez to zapachu kleju.

Chcąc uzyskać auszpik kolorowy, dzieli się rosół na kilka części, z których każdą zabarwia się na inny kolor, bądź to barwnikami spożywczemi, które otrzymać można w handlu, bądź też, sposobami domowemi, tj. sokiem buraczanym, sokiem wyciśniętym z szpinaku, karmelem itp.

Po zabarwieniu wylewa sie płyn na płytkie talerze na palec wysoko, a po zupełnem zastudzeniu kraje się galaretkę w drobną kostkę i zbiera nożem. Można też zastudzać galaretkę w foremkach, do których sie płyn nalewa. Przed wyrzuceniem galaretki z foremek należy je potrzymać przez moment nad gorącą parą, poczem gładko z foremek wypadną.

BUDYŃ CZEKOLADOWY. 7 dkg masła uciera się z 4-ma żółtkami na pianę, dodając po trosze 7 dkg mączki cukrowej i 7 dkg tartej czekolady. Wkońcu dodaje się pianę z 4 białek oraz 2 i pół dkg tartej bułki. Masę nałożoną do formy budyniowej gotuje się na parze przez godzinę. Leguminę wyłożoną na talerz pokrywa się gęstym kremem waniljowym, który ubija się na parze z 1/4 l mleka, 2 żółtek, łyżki cukru z wanilją i łyżeczki mączki do zagęszczania lub dwóch łyżeczek zwykłej, dobrej mąki. Mleko z dodatkami należy poprzednio dokładnie rozkłócić.

TORT ORZECHOWY NA KRUCHYM SPODZIE. 10 dkg masła, 2 żółtka, 20 dkg mąki, 8 dkg mączki cukrowej i pół łyżeczki proszku do pieczywa (oryginalny przepis podaje „za dwa centy drożdży", trzymajmy się raczej proszku), zagniata się dość tęgie ciasto, w razie potrzeby i gdyby ciasto było za kruche, posłużyć się można paru łyżkami śmietany. Ciastem tem wykłada się spód dużej tortownicy, opatrując brzeg wałeczkiem z ciasta, który musi być dość wysoki, aby górna warstwa, później nalana, nie wyciekła. Spód ten piecze się na blado-złoty kolor i odstawia. Po przestudzeniu pokrywa się ciasto dobrą konfiturową marmoladą lub smażoną różą i nalewa w międzyczasie przygotowaną warstwę orzechową, na tę uciera się 3 żółtka z 8 dkg cukru, dodaje 8 dkg mielonych orzechów, wkońcu pianę z 5 białek i dwie łyżki tartej bułki. Tort wstawia się na pół godziny do goracego piecyka. Upieczony posypuje sie tartą czekoladą. Przepis jest stary, ale doskonały.

Sc. Ku.

NOWOŚCI

GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Wadą termosów bywają nieraz nieszczelne, przepuszczające płyn korki. Korek obok zreprodukowany, posiada tę wyższość nad zwykłym, że przy pomocy śrubki widocznej w jego górnej części można go dowolnie zwężać lub rozszerzać, przez co uzyskuje się zupełną szczelność zamknięcia.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 3 — Styczeń — Dni 31
Niedziela **15** Maura op.	 Zupa "tortue" z grzankami. Marynowany karp. Dzika kaczka z jabłkami. Tort orzechowy. Kolacja: Polędwica wieprzowa z sałatką.
Poniedziałek **16** Marcelego pap.	Zupa z włoskiej kapusty. Macedoine z jarzyn. Pieczeń nerkowa z marchewką i ryżem. Kompot z surowych owoców. Kolacja: Pierożki z kaszką krakowską i serem.
Wtorek **17** Antoniego op.	Rosół z groszkiem ptysiowym. Sztuka mięsa z sosem poivrade. Kuropatwy w śmietanie z makaronem. Galaretka pomarańczowa. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.
Środa **18** Pryski p.	Kapuśniaczek z kiełbasą. Budyń z ziemniaków i twardych jaj. Prędkie rozbratle z jarzynkami. Kompot mieszany. Kolacja: Pasztet zajęczy na ciepło.
Czwartek **19** Henryka	Zupa "rizotto". Salseffa smażona w cieście z sosem holenderskim. Kotlety wieprzowe duszone w kapuście. Krem kawowy z waflami. Kolacja: Naleśniki z szpinakiem.
Piątek **20** Fabiana i Sebast.	Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Omlet z grzybami. Łosoś morski po wiedeńsku z makaronem. Budyń czekoladowy. Kolacja: Marynowane śledzie. ●
Sobota **21** Agnieszki p.	Rosół z kaszką. Hachée z mięsa rosołowego z sadzonem jajem. Zrazy zwijane z kaszą. Suszone śliwki w cieście. Kolacja: Smażona kiełbasa. 

HOCKI-KLOCKI

ROZRYWKI UMYSŁOWE

BANK „PUSTYCH KAS".

Do Banku „Pustych kas" dokonał włamania jeden z trzech zatrzymanych: Domagalski, Szczur lub Kon, oto ich zeznania:

Domagalski: To nie ja. Wogóle nawet nie byłem wczoraj na tej ulicy. To Szczur dokonał włamania. Ja jeszcze nigdy nie miałem nieporozumienia z policją.

Kon: Domagalski okradł bank. Ja jestem niewinny tak samo zresztą, jak i Szczur. Przecież Domagalskiego już kiedyś zatrzymano za włamanie do domu na Żoliborzu.

Szczur: To Kon. Ja nic nie mam wspólnego z tą sprawą. A Domagalskiego widziano wczoraj, jak wychodził z Banku. On już był raz karany za włamanie na Żoliborzu.

Każdy z podejrzanych wypowiedział 4 zdania twierdzące, przyczem każdy 2 razy skłamał. Który z nich dokonał włamania?

WAKACJE.

Panowie Chaber, Fiołek, Bławatek, Róża i Macierzanka są mymi przyjaciółmi. Każdy z nich mieszka w innem mieście o nazwie takiej, jak nazwisko któregoś z czterech pozostałych. Tego roku każdy z nich spędził wakacje w mieście o nazwie swego przyjaciela. Nigdy dwóch nie zamieszkało w tym samym mieście i żaden z nich nie spędził wakacji w mieście swego imienia. A oto pewne szczegóły: Pan Róża udał się do Macierzanki.

Pan Fiołek udał się do miasta, które nazywa się tak, jak pan zamieszkały w Macierzance.

Pan z Chabra udał się do Róży, a pan zamieszkały w Macierzance udał się do miasta, które tak się nazywa jak pan zamieszkujący Chaber.

Kto udał się do Fiołka?

CYKLIŚCI.

Staś i Jaś jednocześnie wybrali się na rowerach z Kaczej do Wólki. Jaś jechał 12 km do Dołka, a następnie skręcił w prawo i po przejechaniu 5 km zatrzymał się w Wólce, przyczem jechał z jednostajną szybkością 10 km/g przez całą drogę.

Staś natomiast udał się prosto do Wólki, jadąc ze stałą szybkością 8 km/g.

Kto pierwszy przyjechał do Wólki?

JEZIORO.

Ogród pana Paradoksa graniczy z bardzo pięknem jeziorem w kształcie koła. Pewnego letniego dnia p. Paradoks, kąpiąc się na południowym brzegu jeziora, przepłynął 6 km na północ i znalazł się na przeciwnym brzegu. Stamtąd przepłynął na wschód $2\frac{1}{2}$ km i wyszedł na brzeg, aby opalać się na słońcu.

Ile wynosi średnica jeziora?

FATALNA SYTUACJA.



Barman do swego szefa: — Ten gość twierdzi, że przyzwyczaił się mówić sam do siebie i ta konwersacja tak go znudziła, że musi się orzeźwić jakimś silniejszym trunkiem... („Esquire")

Dokończenie ze str. 6-tej.

drugiej partji aparatury, gdzie w ciągu 35 sekund następuje automatyczne posegregowanie i obliczenie głosów, których ilości zaraz potem ukazują się na drugiej, mniejszej tablicy, podczas gdy przed pierwszą zasuwa się automatycznie czarna zasłona.

Ogłoszony w ten sposób wynik głosowania nie jest jeszcze zaprotokołowany. I tę czynność spełnia ta sama aparatura. Na końcu głosowania, gdy na dużej tablicy świecą żarówki, światło ich biegnie do pewnego rodzaju szafy, umieszczonej na przeciwległej ścianie. Na przodzie tej szafy znajdują się wmontowane objektywy w dokładnie tej samej ilości, co żarówki na tablicy. Impulsy świetlne żarówek przedostają się przez objektywy na film, który założony za niemi wewnątrz szafy utrwala te impulsy w postaci czarnych punktów (jako negatyw). Po wywołaniu, film przykłada się i kopjuje z imiennym wykazem posłów, tak zestawionym, iż stanowi optyczne oddanie rozmieszczenia poszczególnych żarówek wedle przynależności ich do poszczególnych posłów. W ten sposób odrazu (jak to widać na fotografji) uzyskuje się automatyczne wpisanie głosu do jednej z czterech rubryk: *„Ja"* co oznacza „tak", *„Nej"* nasze „nie", *„Avst."* „nieobecny", a *„Frano."* „wstrzymujący się od głosowania". Aby uzyskać impuls świetlny dla rubryki „nieobecny", przewodniczący w momencie stwierdzenia nieobecności pewnych posłów zaświeca specjalne małe czerwone lampeczki na dużej tablicy.

Oto pokrótce przebieg działania aparatury, dzięki której szwedzki parlament zasłużył sobie w pełni na miano „milczącego". Dodać tu jeszcze wypada, że opisane urządzenie zostało wyprodukowane przez znane Zakłady L. M. Ericsson w Stockholmie i że taka sama aparatura może być skonstruowana w Polskich Zakładach L. M. Ericsson w Radomiu.

J. Leo.

Dokończenie ze str. 27-mej.

cięcia z tyłu obrabiamy półsłupkami i zapinamy suknię na pętelkę i mały guziczek, obciągnięty tą samą wełną, z jakiej wykonaliśmy suknię. Pętelkę wykonujemy z kilkakrotnie złożonej nitki, którą obdziergujemy szydełkiem.

Bolerko wykonujemy z jasnej wełny ściegiem jersey. Przody i plecy zaczynamy od dołu i przerabiamy, nadając formę dodaniem i ujmowaniem według kroju. Na wykończenie brzegów bolerka robimy pas, który zaczynamy od dołu na szerokość równą szerokości obu przodów i pleców. Przerabiamy tym samym ściegiem, co pozostałe części bolerka, nadając zaokrąglenie brzegów dodawaniem, poczem na wysokość 5 cm, zakończamy tyle oczek w środku pasa, ażeby na obu brzegach pozostało po 12 oczek. Dalej przerabiamy każdy z tych pasów oddzielnie na wysokość taką, jak długość przodów do ramienia. Gotowym pasem podszywamy dół i przody bolerka. Pasek na wykończenie wycięcia przy szyji w plecach wykonujemy w ten sam sposób według kropkowanej linji na kroju.

Rękawy wykonujemy tym samym ściegiem. Zaczynamy je od góry ilością oczek, odpowiadającą szerokości prostej linji na górze rękawa, poczem przerabiamy dalej, dodając stale po jednem oczku na początku i na końcu każdego rzędu. Po osiągnięciu całej szerokości rękawa, przerabiamy dalej, ujmując z brzegów co cztery rzędy, ujmujemy również wzdłuż środkowej linji rękawa po dwa oczka co sześć rzędów. Po osiągnięciu w ten sposób obwodu ręki w łokciu, przerabiamy równy mankiet na wysokość 15 cm. Dolny brzeg zakładamy pod spód na 2 cm. i podszywamy niewidocznemi ściegami. Gotowe rękawy zeszywamy i wszywamy, układając górny brzeg w drobne fałdki, jak widać na rycinie.

Pasek wykonujemy z wełny bolerka na szerokość 2,5 i na długość 150 cm. ściągaczką pojedynczą.

Takie suknie wizytowe są obecnie bardzo modne, nadają się jednak wyłącznie dla pań o szczupłych kształtach.

Mieczysława Drozdowska.

Dokończenie ze str. 8-ej.

je sławny, zwycięski i wspaniały człowiek-małpa: Tarzan.

Pierwszy film o Tarzanie nakręcono w r. 1922/23. Rolę tytułową objął najsłynniejszy podówczas bohater filmów sensacyjnych, bożyszcze młodzieży całego świata, Elmo Lincoln. Lincoln kreował Tarzana w trzech filmach, z których każdy bił poprzedni: „Wśród małp", „Przygody Tarzana" i „Romans Tarzana". Kiedy Lincoln się zestarzał, rolę Tarzana objęli po nim w spadku inni aktorzy, których aktualne pojęcia estetyczne pasowały na ideały sportowej urody (w przeciwstawieniu do urody salonowej, a więc typu Rudolfa Valentina czy też dzisiejszego Roberta Taylora). Największy po Lincolnie rozgłos zdobył w roli Tarzana olimpijski mistrz pływacki John Weissmüller, którego wspaniały tors olśnił po raz pierwszy tłumy widzów kinowych w r. 1932. I znów pojawił się „Tarzan wśród małp", potem „Miłość Tarzana" i „Ucieczka Tarzana". Kiedy atrakcyjność tych filmów zaczęła maleć, postanowiono zmienić bohatera i Weissmüllera zastąpili inni sportowcy: Buster Crabbe oraz Herman Brix. Okazało się jednak, że świat znużony jest nieco monotonną historją człowieka-małpy. — Postarano się wobec tego o pewnego rodzaju urozmaicenie: króla dżungli zastąpiła królowa. Została nią piękna Dorothy Lamour, którą propaganda filmowa niezbyt może gramatycznie, ale niewątpliwie zachęcająco zaprezentowała światu, jako „pierwszą Tarzankę ekranu". Pierwsza „Tarzanka" istotnie zrobiła furorę, jako „Królowa dżungli", ukazując na tle pierwotnej natury bardzo estetyczne negliże i pieszcząc słuch entuzjastów dzikości wcale dobrze wyszkolonym głosikiem.

Tęsknota do natury, której wyrazem są filmy o ludziach-małpach, najjaskrawiej ujawnia się w tem, że końcowym akordem każdej z tych historyjek jest dziecięce surowe potępienie cywilizacji i apologja prymitywnego bytowania na łonie przyrody. Tej zasadniczej „tezie" podporządkowany bywa z reguły wątek miłosny: wybranka Tarzana rzuca dostatki, zaszczyty i kulturę, by u boku swego bohatera wieść żywot kochanki słońca i burz. Nie inaczej postępuje „on" — człowiek cywilizowany, jeśli na drodze swej spotka dziką władczynię dżungli. Tak oto wyładowuje się tęsknota przeciętnego mieszczucha za bujnem i piękniejszem życiem....

Jerzy B-k.

O tak! — to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. W „Małem Qui pro quo" wystawiono rewję pt. **„Wielka czwórka"**, w której prym wiodą Dymsza, Olsza, Bogucki, Stefcia Górska, Halina Kamińska, Orłow.

W Teatrze Polskim ujrzeliśmy nową sztukę Jarosława Iwaszkiewicza pt. **„Maskarada"**, osnutą na epizodach z życia Puszkina. Rzecz dzieje się w r. 1837 w Petersburgu. W rolach głównych występują pp. Smosarska, Andryczówna, Grabowska, Wyrzykowski (Puszkin), Kreczmar, Bonecki, Woskowski, Wilamowski, Buszyński. Reżyserował rzecz p. Wierciński.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego wystąpił z nową sztuką Marji Jasnorzewskiej, z „tragikomedją" pt. **„Baba-Dziwo"**. Jest to sceniczny pamflet na ustroje totalistyczne, ukazany w przekroju życia jednej rodziny: byłego ministra, który popadł w niełaskę reżimu, choć stara się o podkreślenie swej lojalności oraz jego żony, z zawodu chemiczki, wrogo odnoszącej się do zarządzeń „Baby-Dziwa". Ta „baba", zwana Validą Wielką iMoną, to parodja dyktatury. — W ostatniej odsłonie Valida załamuje się i wyznaje, że swoje tyrańskie zarządzenia były aktem zemsty za jej osobiste niepowodzenia życiowe: był to odwet brzydoty na wszystkiem, co młode i piękne. Sztukę reżyserował p. Wacław Radulski, dekoracje projektował p. Tadeusz Orłowicz. Inscenizatorzy dali tło pełne fantazji, to samo odnosi się do kostjumów. Stanisława Wysocka stworzyła pyszną figurę jako osobliwa Valida, pp. Pawłowska i Czajkowski tworzyli parę małżeńską. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. Jaworską, Brochocką, Wernicz, Szuberta, Ruszkowskiego, Opalińskiego, Kolwasa, Bielską i Jaronia. **J.**

NOWE KSIĄŻKI

„Ponad życie i śmierć". Aleksander Junosza-Olszakowski, Wyd. Gustowski—Wojciechowski. Poznań.

Chociaż nie posiadamy w naszej literaturze tyle pozycyj beletrystycznych, co inne literatury, poświęconych zagadnieniom medjumicznym i wogóle metapsychicznym, to jednak i u nas kilku wybitnych autorów zajmowało się temi sprawami. Wymienię tu choćby tylko Stanisława Przybyszewskiego lub wielkie zainteresowanie, jakie dla tych zagadnień miał Wł. St. Reymont („Wampir"). Ostatnio wydana przez poznańską firmę książka A. Junoszy-Olszakowskiego obraca się dookoła tych właśnie spraw, których stwierdzenie, sklasyfikowanie i konkretne ujęcie dotychczas, mimo wielkich odkryć i wybitnych badań uczonych jeszcze spoczywa w mrokach. Treścią książki są dziwaczne i nieraz bardzo barwnie i pomysłowo nakreślone przeżycia młodego ziemianina, który posiada zdolność rozdwajania się i dzięki tym właśnie właściwościom wpada na trop różnych zbrodni, które pozostały by bez jego pomocy w ukryciu. Opis jego międzygwiezdnej podróży, odbytej w transie, lotu w stratosferę w czwartym wymiarze, jest niezwykle silny: ma się wrażenie, że towarzyszymy w tych wędrówkach i oglądamy z niebotycznej wysokości ziemię i inne planety, robiące wrażenie drobnych ułamków wobec bezmiaru kosmosu. Książka Olszakowskiego nie należy do prac naukowych, ani też do powieści w rodzaju „Na Srebrnym Globie" Żuławskiego, — natomiast ujmuje zagadnienia metapsychicznie sensacyjnie, żywo, z werwą. **JGM.**

„Mały król na Rusi i jego rezydencja Krystynopol". J. Czerneckiego, wyd. J. Czernecki, Kraków.

Niema bodaj Polaka, któryby nie znał „Marji" Malczewskiego i nie przeżywał w czasie lektury tragicznych przejść pięknej Gertrudy Komorowskiej, żony Szczęsnego Potockiego, która z rozkazu jego ojca wojewody kijowskiego została porwana i utopiona przez siepaczy. Choć znamy dobrze ten piękny utwór i niejedno czytaliśmy na ten temat, to jednak nie „poszliśmy w teren", nie znamy krajobrazu okolic, w których rozegrał się ten wielki, jakże charakterystyczny dla końca XVIII wieku dramat. A jestto rzeczą pierwszorzędnej wagi, jeśli chcemy zbliżyć się do prawdy, osnutej przez poetów i legendy ludowe tak nieprzeniknioną nieraz pajęczyną fikcji. Z ciekawej, bardzo pięknie i pieczołowicie wydanej książki J. Czerneckiego poznajemy właśnie realne podłoże wydarzeń dramatu Gertrudy Komorowskiej. Pomaga nam w tem nie tylko sam tekst, dający dużo ciekawych, z archiwów wydobytych aktów i tekstów pamiętnika O. Sroczyńskiego, ale przedewszystkiem bardzo ciekawe ilustracje zebrane przez autora z wielkim trudem w dużej różnorodności. Trzeba przyznać, że niewiele spotyka się tak dobrze pod względem ikonograficznym udokumentowanych książek: poznajemy miejsca, w których rozegrały się dramatyczne dzieje bohaterki Malczewskiego, czytamy o procesie rozwodowym Szczęsnego z Gertrudą, wkońcu zżywamy się, dzięki licznym ciekawym ilustracjom z Krystynopolem, który należał do ojca Szczęsnego. — Jednem słowem książka naprawdę wartościowa i godna uwagi. JGM.

Roman Kosela: „Sandomierskie strony". „Rój", Warszawa.

Nic dziwnego, że C. O. P. jest bardzo obecnie modny w naszej literaturze. Mamy już o nim kilka książek, mamy niezliczoną ilość reportaży. Z takich — jak się zdaje — reportaży powstała książka o COP'ie, a mianowicie przez „Rój" wydana książka Romana Koseły „Sandomierskie strony". Inaczej jednak — niż to się zazwyczaj czyni przy takich okazjach — podchodzi Koseła do tematu. Pomija on, stawia na drugim planie to, co się w COP'ie robi — a zajmuje się ludźmi. Kreśli on doskonałe charakterystyki tamtejszych mieszkańców, maluje portrety różnych podsandomierskich wsi, przedstawia zło i dobro z wiernością i znacznym ładunkiem psychologji. Psuje trochę książkę naiwność w traktowaniu pewnych legend i pseudohistorji, całość jednak jest ciekawa i — na czasie. Jest to bowiem w każdym razie pierwsza książka, poświęcona całkowicie ludziom z COP'u. **W. Z.**

POLSKIEGO RADJA NAJLEPSZE AUDYCJE

Niedziela, 15 stycznia.

12.03 Poranek symf. z Łodzi.
14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
15.30 Obrazek słuchowiskowy „Wędrowni grajkowie".
16.50 Recital fortepianowy Pawła Kowalowa.
17.20 Podwieczorek przy mikrofonie.
21.20 Muzyka taneczna.
22.15 Wieczór piosenek Berangera.

Poniedziałek, 16 stycznia.

11.15 Gra Gaspar Cassado.
15.00 Słuchowisko dla młodzieży — „Śpiączka — czarny sen Afryki".
16.55 Recital śpiewaczy Zofji Massalskiej.
19.30 Koncert rozrywkowy.
21.00 „Sonety instrumentalne" na tle wierszy.
22.00 „Dzieje symfonji" — aud. muzyczna.

Wtorek, 7 stycznia.

11.15 Polonezy i marsze.
16.30 Muzyka taneczna.
17.30 „Z pieśnią po kraju".
19.00 Koncert rozrywkowy „Karnawałowe nastroje".

Środa, 18 stycznia.

11.25 Wiązanka melodji Rudolfa Frimla.
16.35 Gabriel Fauré: Sonata A-Dur op. 13.
17.15 Fragmenty dawnych a niezapomnianych oper — koncert.
21.00 „Opowieść o Chopinie" — „Preludja".
21.45 „Poezja wieku złotego" — „Satyry renesansowe".
22.00 Folklor różnych krajów — koncert.

Czwartek, 19 stycznia.

11.25 Orkiestra Pawła Whitemana (płyty).
16.40 Angielskie pieśni ludowe.
17.10 „Najpiękniejsze kwartety klasyków wiedeńskich".
18.30 Muzyka ludowa i jej wpływ na muzykę artystyczną — gawęda muzyczna.
21.30 Pieśni w wyk. Maurycego Janowskiego.
21.50 Muzyka taneczna.

Piątek, 20 stycznia.

11.25 Koncert chóru „Light opera Company".
16.35 Polskie utwory fortepianowe.
17.20 Arje i pieśni w wyk. Stan. Zawadzkiej.
18.30 „Pan Tarabankiewicz w Abisynji i na księżycu" — humoreska.
21.00 Śpiewa Chór Polskiego Radja.
21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warsz.

Sobota, 21 stycznia.

15.00 Słuchowisko dla dzieci — „Dzieci Pana Majstra".
16.35 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana.
17.20 Koncert utworów Larsa Larsona.
19.15 Polska Kapela Ludowa Dzierżanowskiego.
19.55 Walce w wyk. orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.
21.00 „Tańczmy — przecież to karnawał" — muz. taneczna z udziałem solistów.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1